



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEĆ

ROK 1924. WARSZAWA, 1 MARCA

CENA NUMERU 1 ZŁOTY (1.800.000 Mkp).

TREŚĆ NUMERU.

Ks. Jan Gralewski. Powrót Zbiorów Rapperswilskich do Kraju — K. Bielańska. Świat Kobiety (feljton) — Marja Grossek Korycka (c.d.) Eugenia — Józef Jankowski (c.d.). Małżeństwo Zygmunta Kietlicza (powieść) — M. Domańska (c.d.). Dzikie Ziele — Marja Dąbrowska. Zaranie twórczości Kasprowicza — Stefan Kołaczkowski. Bezimienna patryotka — Zofja Findeisenówna. Woodrow Wilson — I.W.K. Nasze Życie — I.W.K. Kobieta w świecie i w domu Zjazd młodych (c.d.) B-a. Z książek — W. Rogowicz. Z teatrów — W. Mił. Wskazówki praktyczne — Pani Elżbieta. . . . Nadesłane do Redakcji. Dodatek powieściowy: Siostra Joanna od Krzyża (powieść) — Matylda Serao. Dodatek robót i ubiorów. . . .

SKŁADAJCIE ZŁOTO NA SKARB PAŃSTWA!

KS. JAN GRALEWSKI

Żywot opowiedzieć mam pełen czynów, oddany pracy nad odrodzeniem dusz polskich, w pewnym okresie głośny, potem przygasający w zapomnieniu i ciszy, żywot księdza i nieustrudzonego obywatela kraju.

Ks. Jan Gralewski urodził się 16 grudnia 1868 r. we wsi Włoki, w pow. Sierpeckim. Pochodził z rodziny ziemiańskiej, niezbyt zamożnej, ale o wysokiej kulturze i dobrej tradycji.

Do klasy IV pobierał wykształcenie w gimnazjum Bialskim; potem w III gimnazjum w Warszawie. Przeszedł więc zwykłą Kalwarię dzieci polskich — szkołę rosyjską. Nie zdołała ona jednak zmarnować jego wybitnych zdolności, ani złamać niezwykłej siły woli. Przeciwnie, te wspomnienia złe przeżytej młodości, odegrały niepowszechną rolę w kształtowaniu się postaci gorącego szermierza w walce o szkołę polską i pełnego inicjatywy, twórcy nowych metod wychowawczych, nowych szkół — będących przeciwieństwem rosyjskiego piekła dla dzieci.

Ukończywszy w r. 1891 seminarjum metropolitalne w Warszawie, rozpoczął swój zawód kapłański od wikariatu w Grodzisku, potem wikariatu przy kościele św. Piotra i Pawła w Warszawie; w r. 1898 został mianowany wikariuszem kościoła popijarskiego przy ul. Św. Jańskiej, zaś po śmierci ks. Franciszka Krupińskiego objął rektorat tegoż kościoła.

W tym czasie zasłynął, jako kaznodzieja. Wymowa jego, pełna wytworności, a zarazem siły, wznosiła się do wyżyn szczerzego natchnienia w momentach, gdy dotknąć mógł spraw Ojczyzny, oświaty, wychowania. Wtedy w słowach jego dźwięczał ton, jakby wyjęty z ust wielkich kaznodziejów złotego wieku.

Tą wymową przyciągał ks. Gralewski do małego kościółka Pijarów tłumy inteligencji warszawskiej i nawet młodzieży uniwersyteckiej, tak wówczas rzadko progi kościołów nawiedzającej. Było też niemałym tryumfem dla sfer katolickich, gdy pewnego roku po rekolekcjach dla akademików, prowadzonych przez ks. Gra-

lewskiego, 3 tysiące młodzieży uniwersyteckiej przystąpiło do stołu Pańskiego.

A mimo to ks. Gralewski uchodził w pewnych kołach za masona. Światło jego umysłu, wysoka, na najlepszych tradycjach polskich, oparta tolerancja, najrozumniej pojęta postępowość, raziły ślepe oczy puśczyków i sów.

Ks. Gralewski nie poprzestawał jednak na pracy kapłańskiej. Pociągała go działalność społeczna. Organizował kolonie letnie dla młodzieży gimnazjalnej, objął przewodnictwo Instytutu higieny dziecięcej im. Lanwala, rozwinął działalność pisarską, był współpracownikiem „Encyklopedji Wychowawczej”, „Wielkiej Encyklopedji Ilustrowanej”, zamieszczał artykuły w czasopiśmie. A po zatem jeszcze pochłaniała go praca nauczycielska. Był prefektem gimnazjum realnego i kilku pensji żeńskich.

Tak intensywna działalność, choć zamknięta w ramach ówczesnego legalnego porządku, nie podobała się władzom rosyjskim. Odebrano mu pra-

wo nauczania i śledzono bacznie jego postępowanie. Już z resztą na rok przed usunięciem z prefektury, zrobiono w mieszkaniu ks. rektora ścisłą rewizję żandarmską, przyczem wyszło na jaw, że w organizowaniu kolonii letnich dla uczniów upatruje władza zamaskowaną akcję oświatową wśród ludu.

Przyszły klęski Rosji w wojnie z Japonją; wrzenie rewolucyjne ogarnęło całe państwo carów.

U nas wrzenie to wyraziło się między innymi walką przeciw szkole rosyjskiej.

W walce tej nie mogło zabraknąć ks. Gralewskiego, który tak górnio pojmował ideały wychowania.

Należał do tych, którzy najgoręcej aprobowali podjęty przez młodzież, a następnie poparty przez rodziców i organizację Związku unarodowienia szkół, bojkot szkoły rosyjskiej.

Nie wahał się też położyć podpisu swego pod protestem opatrzonych tysiącami nazwisk i złożonym w sierpniu 1905 r. Komitetowi Ministrów. Protest ten wypowiadał postulat społeczeństwa polskiego w sprawie szkolnictwa.

Za uczestnictwo w tej akcji ks. Gralewski usunięty został przez generał-gubernatora Skalkona ze stanowiska rektora w kościele Pijarów i skazany na zamknięcie przez rok w klasztorze w Oborach, (więzienie dla księży).

Ks. Gralewski odwołał się od wyroku tego do władz wyższych, a jednocześnie wybór na posła do Dumy stał mu się pewną gwarancją nietykaności.

W tym samym czasie organizowano Polską Macieję Szkolną. Ks. Gralewski stanął do jej budowy. Wybrany na vice-prezesa Zarządu Głównego podążył na pewien czas do Ameryki, by rodaków za oceanem zagrozić do ofiarności na rzecz oświaty w Polsce.

Jako członek Koła Polskiego w Dumie ks. Gralewski przemawiał najczęściej w sprawach szkolnych. Dzięki nadzwyczajnej wymowie swojej słuchany był z uwagą i zainteresowaniem, a oklaskiwany najczęściej przez lewicę.

Po rozwiązaniu pierwszej Dumy, otrzymał znów mandat do drugiej.

Długa mowa jego z dn. 23 maja 1907 r. wywołała w Izbie rosyjskiej silne poruszenie.

Ks. Gralewski mówił o policyjnych metodach rosyjskich władz szkolnych w Polsce.

Przedstawiając jakiś okólnik tych władz, rzekł „Wydrukowano tu i „M. O. Okręg Naukowy warszawski“, z treści jednak może się panom wydaje, że jest to dokument z ministerstwa spraw wewnętrznych, z departamentu policji. (oklaski na ławach lewicy i części centrum) Proszę posłuchać! oto wzór szkoły szpiegostwa!“...

Na to krzyknął z miejsca osławiony Puryszkiewicz:

„No pan, nie tak głośno!“ (cała prawica wrzała:)

Niesłuchanie interesującym jest przerzucanie kart tej historii, tak niedawnej, że dopiero co, w pełni niemal wieku męskiego, złożyliśmy do grobu jej bohatera, a już oddzielonej od nas przepaściami wydarzeń, przewrotów, morzem krwi...

Do trzeciej Dumy nie posłował ks. Gralewski.

Opuściwszy teren, na którym przy wzrastającej reakcji nie było właściwie już nic do roboty, oddał się cały sprawom wychowania.

Już przedtem organizować począł w Szymanowie pod Warszawą, t. zw. Ogniska. Była to szkoła średnia z internatem; szkoła, położona na wsi, miała stać się rodzajem reorty eksperymentalnej dla nowych metod wychowawczych.

Zgromadziwszy najlepsze siły pedagogiczne i naukowe ks. Gralewski postanowił stworzyć wzór dla szkolnictwa polskiego.

Szkoła, jako droga, nie była przeznaczona dla warstw uboższych, ale ks. Gralewskiemu chodziło właśnie o synów wielkich rodów, o młodzieńców, którzy stać się mieli dziećmi olbrzymich nieraz fortun, a których wychowanie zarówno pod względem moralnym, jak narodowym zazwyczaj w największym bywało zaniedbaniu.

Z Szymanowa szkołę przeniesiono do Starej Wsi, gdzie później pozostały tylko niższe klasy; starszych zaś chłopców przeprowadzono w atmosferę swobodniejszą, do ówczesnej Galicji, zakładając nowe „Ogniska“ w Prokocimiu pod Krakowem i w Surochowie pod Przemyślem.

Tę pracę wychowawczą prowadzoną z wielkim zapałem i gorliwością, przerwała wojna.

Chłopcy rozjechali się, gmachy szkolne zajęły wojska...

Okres wojny spędził ks. Gralewski w Szwajcarii, prowadząc energiczną propagandę w sprawie polskiej, współpracując w wydawanym przez Jana Kucharzewskiego piśmie p. t.: „L'aigle blanc“, którego zadaniem było uświadamianie Europy o naszych prawach do życia, o nieprzedawnionych aspiracjach do niepodległości, o naszej sile i kulturze i t. d.

A potem przyszły nowe czasy... W tych nowych czasach nie zajął ks. Gralewski stanowiska, któreby odpowiadało jego zasługom i zdolnościom. Należał do, licznej niestety, grupy sił niewyzyskanych przez nową Polskę, zepchniętych na miejsca podrzędne.

Widzimy go na stanowisku wizytatora szkół powszechnych; W czasie wojny 1920 r. wstępuje do wojska i zostaje kierownikiem wszystkich placówek oświatowych w D. O. G. Poznań, wreszcie w r. 1921 wycofuje się w zacisze wiejskie. Obejmuje parafję w Domaniewicach pod Łodzią, i tam nie tylko jest proboszczem i kaznodzieją, ale przede wszystkim nauczycielem dziatwy wiejskiej.

Na podstawie całorocznej pracy w szkółce ludowej, układa dwie przedziwne książeczki o nauczaniu religji: „Chrystus w duszy człowieka“ i „Podręcznik do nauki religji“.

Ostatnia to jego praca!

Dotknięty nieuleczalną chorobą, porzucić musi parafję, dzieci, wieś i gaśnie zwolna w małym mieszkanku na starem Mieście, w sąsiedztwie tego kościoła, co widział pierwsze wzloty jego religijnego i patriotycznego entuzjazmu, słyszał pierwsze rytmy wspaniałej jego wymowy i w którym niezadługo spocząć ma na katafalku jego trumna.

Jak szlusznie podczas żałobnego obchodu, podkreślił kaznodzieja, ks. Gralewski należał do tego dziwnego pokolenia, które nieświadomie nosiło w duszy przeczucie zbliżającej się, wielkiej dla narodu chwili i z gorączkowym pośpiechem, z natężeniem nadludzkim wszystkich sił przygotowywało naród na przyjęcie niepodległości...

W tym trudzie, prędko zdzierały się siły.

POWRÓT ZBIORÓW RAPPERSWILSKICH DO KRAJU

Bawił niedawno w naszym mieście w zabiegach około sprowadzenia zbiorów z Szwajcarii do kraju bibliotekarz Rapperswilu, dr. Adam Lewak, młody historyk, którego nowa książka: Od związków węglarskich do Młodej Polski daje niezwykle zajmujący obraz mało znanych prac wyzwoleńczych w latach po 1831-ym. Czerpiąc pełną

garścią z bezcennych skarbów rękopiśmiennych archiwum Rapperswilskiego, autor wydaje równocześnie w turyńskim „Risorgimento“ korespondencję Mazziniego z wybitnymi polakami, gdzie między innymi znajduje się długoletnia korespondencja tego wielkiego działacza z Lelewelem. Prostu skarby nieznane, odsłaniające nie-

przerwany ciąg walki niepodległościowej i łączność najpiękniejszych dusz pod hasłem najwznioślejszym jakie wypisywali sobie ci nasi dziadowie — tułacz: *Za waszą wolność i naszą*. Mówi się nieraz, że smutno jest obalać legendę, a na jej miejsce stawiać „nagą“ prawdę. Ale jaka to radość zato, jeśli ta prawda jest piękna, daleko

piękniejsza jak „legendy różanego oleju“ wedle wyrażenia Marszałka Piłsudskiego, jak zwietrzałe szmatki konwencjonalnych łachmanków, w które stroić je lubiła przeciętność rozmilowana w banalności! Żyjemy w epoce, która mogłaby być najradośniejszą dla badaczy, gdyby z drugiej strony ciężkie warunki materialne nie zatrzymywały na każdym kroku. Przecież dzieją się poprostu cuda: wracają zrabowane skarby do rodzinnego domu.

Rosja, o której się nieraz mówiło że jest to „przepaść, która nie oddaje swych ofiar, odsyła choć z niechęcią biblioteki, archiwa, zbiory, stają otworem tajne akta, odsłania sekreta swoje perfidja zaborców. A Rapperswil, ta placówka na obczyźnie, oparta na nieziemnej wierze w powrót, tęskni i czeka kiedy ten powrót, zadekretowany od 6 lat już, nastąpi wreszcie. — Niechże Warszawa dołoży starania, aby nie ominęły jej te

skarby. Należą się one słusznie Warszawie i umieszczenie ich gdzieindziej byłoby pokrzywdzeniem całokształtu nauki polskiej. Badacz dziejów porozbiorowych znajdzie w Warszawie materiały do czasów Księstwa Warszawskiego nawet jeszcze do r. 1831, ale potem natknę na braki i przeszkody nieprzezwyciężone. Te braki uzupełni przebogaty zbiór literatury nielegalnej, wspomnień ukrytych przed zaborcami, dokumentów autentycznych, jakich zbiornikiem było od lat tylu muzeum Rapperswilskie. Spełni ono swoje zadanie, swój sens istnienia, intencję założyciela. Teraz za granicą istnienie tej placówki w kształcie obecnym jest nawet przykrym dysonansem. Wycieczki zwiedzające je ze zwyczaju oglądają wciąż Polskę na krzyż, pamiętając krzywd, upokorzeń, męki. — Nie, my już nie chcemy aby mówiono o nas „pauvre Pologne“ — mówi dr. Lewak — Choćby bieda u nas była, cudzoziem-

com skarżyć się nie potrzebujemy. Pokażmy im to czem się pochlubić możemy, pokażmy im *państwo polskie*, Polskę etnograficzną, jej płody, jej wytwórczość artystyczną doby dzisiejszej, przemysł na wzorach ludowych oparty, wszystko to co stanowi kraju żywotność i bogactwo. A zbiory sprowadźmy co rychlej do Warszawy, niech w jej płytkie, kosmopolityczne środowisko wniosą głębszą nutę i przypomną to, co tak usilnie z pamięci starał się wymazać najeźdźca. W teorii rzecz jest załatwiona, przychylne poparcie rządu pewne, na Zamku godny lokal się znajdzie, chodzi tylko o pewną ilość — franków szwajcarskich na koszt przeprowadzki. Wystarczyłby na to koszt kilku nocy karnawałowych... Czy zdobędzie się na trochę ofiarności Warszawa, czy też da się wyprzedzić innym miastom a potem, po niewczasie żałować będzie?

K. Bielańska

MARJA GROSSEK-KORYCKA

Ś W I A T K O B I E C Y

(F e l i e t o n)

A teraz staje przed nami postać tragiczna: *kobieta genjalna*. Natura, stwarzając ją, *robi dramat*: w ozdobną farfurkę, w której miała rosnąć werbena, wrzuca żołądz, nasienie olbrzyma dębu i korzenie rozwijającego się olbrzyma rozsadzają wątłą skorupkę.

„Gdzież są te wasze genjalne kobiety?“
Gdzie one są?! Ileż drogich kamieni i pysznych szkarłatów Oceanu przepaście zawierają ciemne...
I ileż się rozwija niewidzialnych kwiatów
I w dzikich puszczech trwoni zapachy przyjemne...

Ciało ludzkie druzgoczą skomplikowane ze sobą takie dwie tyranje: jak fizjologia kobiety i psychologia genjuszu i ich szalony, podwójny ekspens sił.

Widać to już w tej jednej jedynej dziedzinie, w której duch kobiecy dorównał zupełnie męskiemu: w sferze świętości. Święte zajmują tyleż miejsca w kościele, co święci, przed ołtarzami ich tak samo zginamy kolana, są bowiem równie wielkie. Ale święty mężczyzna, aby zabić w sobie człowieka, a urodzić w sobie *nadczłowieka*, poddaje ciało tym straszliwym próbom, na które wzdryga się ludzka natura — *bezkarne*. Cudowne ciało spełnia wszelki rozkaz, stając się w miarę nadprzyrodzonych ćwiczeń co raz zdrowszem, hartowniejszem, żelaznem! Święte przedstawia nam hagiografia prawie zawsze na łożu boleści. One są nawiedzane przez jakieś nieznane, nieuleczalne choroby. Święta Lidwina, święta Teresa i tyle innych to są Łazarze!

Delikatna farfurka nie wytrzyma presji olbrzyma.

Genjusz kobiecy to gałązka jaśminu, na której zamiast szklanej libelli usiadł orzeł drapieżny, złamał ją i odleciał.

Umierają w zaraniu życia Marja Bartus, Marja Baszkirczew, Julja Hasden. Umarła niegdyś u nas cudowna dziecina Urszula Kochanowska. — Tyle ich zapamiętałam — o iluż nie zasłyszałam! — iluż nie zapisała historja!

Genjusz kobiecy: Atalea Princeps, która przebija dach szklany swej cieplarni i ginie ściśnięta morzem świata (Garszyn).

Genjusz kobiecy: palma wazonie: karzeł z rodu olbrzymów, który już nigdy nie będzie tem, czem mógł stać się... czem był stworzony przez Boga...

Genjusz kobiecy: Herkules kąpiel przedący, Prometeusz przykuty do skały...

„Nie mam najmniejszego współczucia, powiada Rogny, dla tych, których fortuna zmiata ze szczytów w padoły życia, gdzie muszą pełnić robotę *rąk czarnych*. Nie wzruszają mnie te *wykolejenia*. Taki np. Ludwik XVI z duszą naiwną i surową rzemieślnika, był raczej na tronie *wykolejonym* ślusarzem. Ale któż wyobrazi sobie cierpienia jakiegoś Hugo lub Rasyna, któremu los każe przez całe życie heblować deski, lub wykucwać podkowy?!”

Los taki miljarady razy, niepoliczony, powtórzył się w życiu kobiety.

Niech Bóg każdego uchroni od pocucia w sobie chybionego przeznaczenia... urodzić się nie na swo-

jem miejscu?!.. nie pasować do swego losu?!.. Nosić w sobie potencje arcydzieł, które się nie staną!.. — zamknąć w piersi sto atmosfer zatamowanej energii... Każdy organ bujnie rozrośnięty i kipiący nadmiarem soków żywotnych, jeśli mu nie dać normalnego funkcjonowania, przyprowadza nas o chorobę, wytwarza jad, którym się może zatruć oddech dookoła. Wielki umysł beczynn timer zawieszony na kołku jest to wielkie cierpienie. Nie jedna siła błogosławiona stała się przez to fatalną! Jest to konflikt nie jednej tragedji, którego się nikt nie domyślił. Nie jeden genjusz kobiecy, nie mogąc wykonywać funkcji swej genjuszu, stał się *demonem*. Bo nie każda dusza może odnaleźć się i uciśzyć w Bogu.

Genjusz jest nawet dla mężczyzny męczeństwem. Genjusz męski także najczęściej umiera nieuznany w nędzy. Ale jeżeli los uczyni go triumfotorem — to jest to już karjera pół boga. Olimpijczykami byli Goethe i Voltaire. Urodzeni w drobnym mieszczaństwie — zamieszkali w pałacach królewskich na ty z królami!

Genjalna tryumfatorka — było ich tak niewiele! — prawie jedyna, której życie można studjować z jej własnych zeznań, przekazała nam w swych pamiętnikach jęk rozdartego serca. Zofja Kowalewska otrzymuje wielką nagrodę Akademji paryskiej imienia Bordina za rozwiązanie tematu matematycznego,*) który poprzednio przez sześć lat z rzędu ogłaszała bezskutecznie Akademja Berlińska; nikt się

*) Le perfectionnement d'un point important dans le mouvement d'un corps solide.

nie znalazł mocen podolać zadaniu. Przez kilka dni imię laureatki jest na ustach całego Paryża... Jest to szal! Uroczystości i festyny na jej cześć wydawane wysuwają się bez końca. Leje się szampań, toasty prześcigają się w dytyrambach. Laureatka jest młoda i pełna wdzięku. Na wszystkich bankietach i ucztach u boku jej siedzi ten, który ją kocha i którego kocha ona! Apoteoza życia!!!!...

Ale im mocniej rozjarza się i rozszerza otaczająca ją aureola—mnożą się, roją się wyciągnięte do niej ręce, uśmiechające się twarze, im wyższy ton biorą pochwalne owacje—tem grubsza chmura nasuwa się na twarz Wybranego—głowa jego pochyla się jak w cierpieniu, jak pod ciężarem upokorzenia.

Tak!... odjechał i pożegnał ją listem na zawsze... Wielkość jej — pisał — mrozi go i przygniata. Ten tłum wielbiących stanął między nimi i odebrał mu ją. Wielka kobieta należy do świata „nie do mnie”. *Le cas* Kowalewski jest typowym. Na tę rafę najczęściej pada piersiami kobieta i rozbija sobie serce.

Prawda, że od tej pory dużą ewolucję odbył stosunek mężczyzny do kobiety. Pozytywiści trzymali się jeszcze wskazówki Goethego: „ręka, która w sobotę najsprawniej miotła włada, wird Sontag dich am besten karessieren”. Moderniści już nie zachwyca Grätchen z miotłą w ręku. On potrzebuje kobiety wykształconej i subtelnej, któraby go rozumiała!... O tak! Ale takiej, którą on by potrzebował rozumieć?! Nie, takiej on nie chce i nie znosi..

Odjeżdżając z Paryża Kowalewską Jonas Lie pożegnał dziwnie rzewnym toastem. Aby go zrozumieć, trzeba wiedzieć, że Kowalewska napisała powieść z lat dziecińczych, rodzaj autobiografii, w której autorka

nazwała siebie Tanią Rajewską. „O, nikt tak dobrze nie przyjrzał się Tani Rajewskiej i na wskroś, jak ja, nie przeniknął! — mówił Jonas Lie — Nikt nie wie, jaka ją trawi nieutulona potrzeba czułości. Życie tak samo nie poznało się na niej jak ludzie. Życie obsypało Tanię wszystkimi darami — o które dziewczynka dba tak mało! — dając jej geniusz powodzenia i sławę. A ona stoi wciąż, biedne dziecko, i czeka... wypatrzyła swoje rzewne, wielkie oczy i wyciągnęła swoje małe rączki, aby jej jakaś kochana ręka rzuciła pomarańczkę!”

Laureatka rozplakała się.

„Szaleństwem jest — pisze w pamiętniku — nad książkami przepędzić młodość! Nieszcześnie jest dla kobiety, jeśli natura, wkładając w nią geniusz popycha ją w sferę działania, która jej zawsze będzie obcą”.

Opierając się na tych słowach — Gina Lombroso dowodzi, że kobieta

nigdy nie ma prawdziwego zamiłowania do myśli oderwanej i ścisłej, że karjera naukowa jest w jej życiu zawsze czemś przypadkowym, podsunieciem jej, wmówionem przez pobudki nie mające nic wspólnego z męską namietnością poznania. I sięgając do własnych przeżyć po zdublowanie do wodu, zeznaje, że ją z nauką wiązał tylko ojciec, studja były pretekstem być z nim zawsze, być z nim bliżej, stać się jego ulubionym uczniem, sumiennym sekretarzem, inteligentnym asystentem. Gina Lombroso wypowiada szczerą prawdę, o ile to jej samej dotyczy. Z książki jej wieje na nas taka czysto uczuciowa natura. Widzimy z niej jak harmonijny systemat jej myśli obraca się dookoła serca, które jest ich słońcem. Ale myli się, rozciągając to na wszystkie kobiety i czyniąc z tego prawo. Zofja Kowalewska stanowczo taką nie jest. Dom jej rodziców, wielkopański dom rosyjskiego generała jest o całe światy oddalony od spraw nauki i sztuki. Jakiś daleki wujaszek, cichy dyletant nie był ani tak świetnym ani tak ukochanym autorytetem, jak był dla Giny jej wielki ojciec aby mógł zasugestjonować Kowalewskiej tak namietny pociąg do studjów, jaki się w niej wcześniej objawił. Matkę Zofji widzimy w jej pamiętnikach zawsze jadącą na bal lub powracającą z balu: nagie ramiona, dźwięczące i świejące bransoletami. A ojciec został rażony apopleksją dowiedziawszy się przypadkiem, że druga jego córka, starsza siostra Zofji otrzymała od Dostojewskiego honorarium za nowellę, w liście, który ją mianował talentem.

„Ty siebie — wołał — będziesz jutro sprzedawać za pieniądze, jeśli dziś mogłaś sprzedać swoje pismo”.

Zofja zawiera fikcyjne małżeństwo aby, wyzwolona tym ryzykownym środkiem z pod władzy rodziców mógł jechać za granicę na studia.

(c. d. n.)

DZIEŁA MARJI GROSSEK-KORYCKIEJ

DIALOGI

MEDYTACJE

ORZEŁ OŚLEPŁY

NIEDZIELA PAŁEM

SKŁAD GŁÓWNY

U GEBETHNERA I WOLFA

JÓZEF JANKOWSKI

E U G E N J A

Czyli o dobrem zrodzeniu się wewnętrznem kobiety.

(C i a g d a l s z y)

VII. EUGENJA—MATKA.

Odnalazłem w zeszycie Eugenji i ustęp, dotyczący obowiązków duchowych matki i tłumaczący z takim zrozumieniem te obowiązki według szczytnego ideału i istoty Chrześcijaństwa, tak mało jeszcze, wskutek pędów indywidualistycznych i egoistycznych natury ludzkiej, rozumianych dziś przez kobiety. Ale co tu mówić o kobietach, gdy uczony profesor uniwersytetu wyszydział niedawno publicznie pogląd mój na rozwój woli, jaki wyraziłem w pewnej pracy, i gdzie, w duchu tej istoty Chrześcijaństwa, dowodziłem, że rozwój woli święcić się tylko może nie na drodze indywidualnego jej zatwierdzenia, lecz na drodze ciągłego jej poddawania źródłu

dłu tej woli w sobie, czyli — że wzrost indywidualności może się odbywać tylko na drodze ciągłego jej poddawania powszechności, duchowi. Słowem, należy tracić duszę, żeby ją znajdować, żeby ją zdobywać. Głosilem to tylko, co jest nakazem w codziennem: *Ojcze nasz, owo Bądź wola Twoja* (czyli, nie moja), — ale to właśnie dziś, mimo powtarzania słów tych pacierza, jest jeszcze dla uczonych psychologów, nie uznających w człowieku tego źródła, tego ducha, wielkim kamieniem obrazy.

Eugenja rozumie doskonale tę władzę twórczą powszechności w człowieku — i oto na marginesie Ewangelji zwraca się do matki o te obowiązki ideału, powszechności. Wybiera zaś

do tego moment bardzo znamieny w Ewangelji, moment bardzo śmiały, który, z litery swej, nierozumiejącym zgoła istotą Chrześcijaństwa, skorym a powierzchownym krytykom, może nawet dawać niejaką broń do pomawiania go o sprzeczność, o burzycielstwo ładu świata. Bo proszę sobie przedstawić scenę: Jezus naucza tłumy w izbie. Ciżba ogromna — Naraz dają Mu znać, że Matka Jego i rodzeństwo przyszlizli, żeby Go widzieć, — stoją na dworze i dostać się nie mogą do Niego z powodu ciżby. Jezus zaś, święcie natchniony, usłyszawszy oznajmienie, odpowiada nie dbałem o to zapytaniem: „Kto Matka moja, i kto bracia moi?” I zatoczywszy rękę swą boską po tłumie, do-

daje: „To Matka moja i to bracia moi. Albowiem, ktoby pełnił wolę Bożą, ten brat mój, siostra moja i matka jest“. Jakże więc? Wyrzeka się Matki i rodzeństwa? Nie chce znać ich? Nie daj tego Boże! Ale szczytny ten ideał Chrześcijaństwa, życie i wzrost miłości budujący, należy zrozumieć.

Eugenja tedy, na tym *marginesie*, przekłada odrazu ten ideał twórczy na obowiązek kobiety-matki. I tak do niej woła rzetelnie:

Matko! Jeżeli obce dziecię
W twym macierzyńskim nie drga świecie:
Jeśli obcego, w biedy pęcie,
Nad swoje nie przełożysz święcie:
Matko! jeżeli wszystkich dzieci
Nie kochasz więcej, niżli swoje:
Nie łudź się! Choćbyś wśród zamieci,
Broniąc swe dziecko, szła na boje
I nawet za nie życie dała:
Nie łudź się, matko rozszalała,
Nie kochasz wcale dziecka swego!
Kochasz li to, co zmysły strzegą,
Kochasz li ciało ciała znojem,
Kochasz li siebie w dziecku swoim!

Nie widzisz — i gwałceniem ślepem
Zabijasz, co jest żywym szczepem,
Co jest miłości żywym źródłem,
Co jest prawdziwym dzieckiem twojem!

Kochasz li to, co namacalne,
I co znikome i niszczone,
Co jest pokrywą li miłości,
W czym wyziew tylko czczy jej gości!

Zamknięta dla cię żywych księga,
Kochasz li glinę, która sprzęga,
A która rychle ci się skruszy,
W gruz waląc cegłę swojej duszy,
Pomijając gmach budowy
Społecznej, wiecznej i duchowej!

O, tak! Eugenja rozumie sprawę Chrześcijaństwa, sprawę ideału, sprawę Słowa, które ma wiecznie przed-
ujmować życie i jego rozwój! Eugenja wie, że na pędy cielesnej miłości w matce zostanie zawsze dość miejsca, że zawsze one, nawet w świetle najwyższem, acz odmienione, będą, lecz — że zadaniem wielkiem Chrześcijaństwa, jego właśnie ostatecznością rozwiązań Prawdy i Rzeczywistości, jest pędy te wyszlachetniać, oczyszczać, odradzać, zlatniać. I że właśnie przez taką tylko pracę, drogą zamierzonego, pomnego i czujnego wprowadzania do nich coraz większej powszechności, ducha, miłość indywidualna urasta, świetleje. Bo przecież miłość indywidualna nie jest przez się: musi mieć pokarm, zasób, światło. A tem ci jest duch, powszechność. Indywidualność to ziarno, to skorupa; powszechność — to gleba, to Niebo, to światło. I skorupa ta

musi ciągle umierać, by ziarno wyrosło i pomnożyło się w swej indywidualności.

Tak więc, matka, ujmująca dziecku z ciała swego, dodaje mu z ducha do tego ciała, kocha je mocniej, prawdziwiej. Oto paradoks rozumny: Trzeba tak kochać, żeby aż nie kochać! t. j., żeby jaknajmniej było w nas miłości z siebie, cielesnej, i jak najwięcej miłości z Boga, duchowej. Bo ciało to umrze, bo ciało to jest niczem, bo jest ono tylko przez ducha. Niech że więc już tutaj przez ducha umiera, by zmartwychwstawało. I niech zostaje już tutaj, co wieczne, co wielkie!

Człowiek jest, jak ślimak, nawykły do skorupy, i tylko rzadka rogi na światło wystawia. I zapomina, że bez skorupy nie przestanie być indywidualnością, ślimakiem, choć będzie w świetle. I więcej nad to. Gdy ślimak jest tylko ślimakiem, gdy człowiek jest ja — stwórczem — ślimakiem. Ja — wiednem, co formę stanowi. Gdy więc ja będzie wiecznem i słonecznem, i forma będzie wieczną i słoneczną.

Zasada ta wzrostu indywidualności prawdziwej przez powszechność jest obowiązującą na całej przestrzeni życia i rozwoju. I tylko stopień powszechności daje prawdziwą wagę indywidualności. Nie można być dobrym ojcem czy matką, nie będąc dobrym obywatelem kraju czy obywatelką. Nie można być dobrym obywatelem, nie będąc dobrym człowiekiem. Gdy przeciwnie, pojęcie najwyższe, ducha, warunkuje wszystkie niższe stopnie. Dobry człowiek jest przez to samo dobrym obywatelem kraju i dobrym ojcem rodziny. Nigdy zaś odwrotnie. Dbałością więc całą człowieka winna być tylko powszechność. Indywidualność nie zginie — zginąć nie może, bo to zasiew boży, zasiew stworzenia.

Sosna, dąb, jesion nie potrzebuje dbać o to, żeby był sosną, dębem, jesionem, lecz będzie nim do-
rodnie, jeżeli będzie dbał, żeby był dobrem *drzewem*, t. j., jeżeli będzie pełnił dzieło powszechności: brał soki z całej ziemi, promienie i powietrze z całego nieba, z całego przestworza. Przeciwnie, jeżeli zaniecha tej funkcji, siły swe kierując samolubnie na siebie,

na myśl, że jest dębem czy sosną, jeżeli pocznie wyodrębniać się, pokręci się i skarleje. Wzrost jego piękny może się pełnić tylko drogą poświęcenia swej myśli o sobie dla sprawy powszechności, lasu.

O, jak błogosławiona, jak mądra jest matka, która, obdzielając dziecko swoje i obce, da lepszy kąsek obcemu, wyrównując tem przewagę miłości fizycznej, jaką ma dla dziecka swojego! O, jak święta jest matka, która przytuli do serca sierotę z większem uczuciem, niż to, jakie ma stale dla dziecka swego, wskrzeszając mu niebo stracone i płacąc Bogu za miłość swą macierzyńską obolem miłości powszechnej!

Dźwignią tego wszystkiego jest własność najwyższa twórcza ducha, — miłość prawdziwa, miłość, która gwiazdy i serca porusza, — nie kochanie się, lecz miłość, miłowanie, mające cel i szczęście tylko w samem sobie.

Toteż hymnem natchnionym miłości kończy Eugenja swe wezwanie do matki.

Miłości! Wielka tajemnico!
Przez Chrystusowe otworzenie
Odrzwi w wieczyste twe jaśnienie,
Odsłaniająca swoje lico:

Miłości! Wielka powszechności,
Kraju, gdzie Żywoć szczep swój rości,
Duchu prześwięty stwórcy, cielu,
Kuznico Życia dróg i Celu!

Cudzie, fontanno tryskająca,
Której źródło nigdy się nie zmąca,
Który przenikasz piasku ziarna,
Którym drga ziemia ta ciężarna:

Ty, co sprawujesz dziw, że z tobą
Ziarno, mrąc, kłosu lśni ozdobą,
Że im kto więcej w tobie traci
Duszę, tem więcej ją bogaci:

Ty, co uświęcasz w powszechności
Rozkwit twych osobniczych włości:
Że im kto więcej kocha społecznie,
Tem więcej kocha poszczególnie:

Cudzie! mieniący się na zmianę,
Jak błyskawicy rozedrgane
Łono, podwójną swą pięknoscią,
Poszczególnością i wszystkością:

O, spraw, by Alfą i Omegą
Stając się wszyscy, miłowali
Wszystkich tak samo, jak każdego, —
Każdego podług wszystkich skali:

O, spraw, Miłości, byśmy sami
Stali się twemi organami,
Na których duch twój, siła żywa,
Harmonję wiecznych sfer wygrywał

Tak rozumie Eugenja wielki obowiązek miłości macierzyńskiej.

(d. c. n.).



21)

M. D O M A Ń S K A

MAŁŻEŃSTWO ZYGMUNTA KIETLICZA

P o w i e ś ć

(Ciąg dalszy)

— Przyjaciołom moim — poświęcam

— Szalenie trudno wyobrazić sobie panią—spłoszoną...

— Oj! jaki z pana ślepy człowiek! Przecie ja przed panem—drzę...

— A to wcale zajmująca dla mnie wiadomość — i nieoczekiwana...

— A tak. Bo mi pan imponuje. Pomówimy o tem—pojutrze. Niech pan nie będzie bardzo olimpijski. Proszę pamiętać, że pan ma do czynienia z biedną, małą, głupią dziewczynką, która się boi...

— Dobrze. Postaram się oswoić małą dziewczynkę.

Spoglądał rozbawiony i mile pociągnięty na jej niezmiernie wdzięczne, dziecinne minki. Gdy wyszedł wreszcie, długo mu dzwonił w uszach jej głos rozpieszczonego dzieciaka, śpiewnie przeciągający, mile swojski, echo z rodzinnych stron i czasów młodości niefrasobliwej...

XIII

Spacerowy statek „Krakus“ minął most Kierbedzia i wypłynął na szerokie, zwierciadło Wisły, różowo-złote od zachodnich łun. Kwadratowa, romańska wieża kościoła Panny Marii wychyliła się ponad gęsto skupione domy Starego Miasta, przykuwając do siebie wzrok, potem zasunęła się w dal. Zazieleniły się nad samą rzeką stoki Cytadeli, słaby powiew wieczorny wionął zapachem wiosennych liści i kwitnących drzew owocowych — i wkrótce miasto znikło z przed oczu. Pola okryte runią, młode ogrody, przedziwnie świeże łąki, zastąpiły mury. Piersi odetchnęły powietrzem pachnącem, upojnem, płynącym z wolnych, zielonych dali. Na pokładzie muzyka grała potpourri z pieśni swojskich. Spacerowiczów nie było dużo, wobec dnia powszedniego, a ci co znajdowali się na statku, siedzieli przeważnie pod namiotem kawiarni. Zygmunt i Ryśka Lubowiecka weszli na pomost górny, niemal pusty — i zasiedli tam na ławce. Szybkie i równe posuwanie się statku, kołysało mile; pieściły miękkie i ciepłe fale wiatru wiosennego, ciężkiego od pyłków kwiatowych i niezrównanej woni rozwijających się — młodych listków; głaskały, szeptały, wiosny obietnice, rozmarzały nieokreśloną, rozkoszną nadzieją.

Ryśka siedziała cichutko, skupiona i marząca. W granatowym beredku i krótkim granatowym kostjumie angielskim, przywodziła znów na myśl — młodziutkiego pазia, rozkochanego i roztęsknionego — pierwszą miłością.

— Nie myślałam nigdy, aby rozśpiewana i roztańczona znajoma mi panienka umiała tak spokojnie siedzieć — przemówił wreszcie Kietlicz, przyglądając się jej z zajęciem.

— Bo dobrze mi — szepnęła śpiewnym swym głosem.

— I uleciała pani daleko stąd — w marzeniu...

— Nie. Pozostałam blisko, odpowiedziała ciepło, z przedziwną miękkością.

— To dziwne, małe lichy umie tylko kochać i marzyć, prawda?

Nieświadomie namiętne usteczka zadrżały i wypłynęło z nich ciche i słodkie: Tylko...

— Oj do licha, stary! a trzymajże się! ostro siebie strofował w duchu rotmistrz Kietlicz.

Zagasły ostatnie zachodnie zorze. Na niebie kłębiły się tylko różowe obłoczki, przechodzące we fiolet coraz ciemniejszy, nasycony ciemno — złotymi tonami. I te szarzały zwolna, traciły blask i wyraźne kolory, roztopiały się w delikatnej, popielatej, przejrzystej mgłę zmierzchu. Kończył się długi, słoneczny dzień wiosenny. Statek, nie dojeżdżając do Młocin, zawrócił, aby odbyć jeszcze spacer w stronę Wilanowa. Zabłysły lampy elektryczne, niebo i woda pociemniały, linie wybrzeża zlewały się w niewyraźne kontury. Zawiał wilgotny, chłodny wietrzyk, pachnący morzem. Ryśką wstrząsnął dreszcz.

— O! źle! Dziecko mi się przeziębi, marząc na wilgocil! Romantyczny nastrój skończy się — katarem! Trzeba się otrząsnąć i zejść na dół. Tam rozweseli nas muzyka — i jaki alkohol. Pani nie bojkotuje alkoholu?

— Gdzież tam! Lubię, pić — i staję się wtedy niemożliwa.

— Ano — to doskonałe! Bardzo tego ciekaw!

Przy czarnej kawie z likierami i przy dźwiękach tango, zapamiętałe mącących ciszę wieczoru — Ryśka istotnie się przeobraziła. Oczy z piwnych stały się jednolicie złote, sypały iskrami, śmiały się — to znów przekornie kryły za kratą długich czarnych rzęs. Usta, pełne wymowy nawet w milczeniu, rozchylały się jak pęk kwiatu — uśmiechem nie tyle radosnym, ile upojenia pełnym. Ruchliwe, ciemne pukle przy żywych poruszeniach, ukrywały chwilami w tajemniczym cieniu, całą drobną twarzyczkę.

Jakieś wewnętrzne płomienie, wytrysnęło z głębin jej istoty, migotliwie i niespodzianie, prześwieślały jej delikatną urodę. Mieniła się w oczach, w nastrojach, rozfiglowana i marząca, swawolna i tęskna, słodko uległa i przekornie butna, dziecinna a niepokojąca niezmierną potęgą kobiecego czaru. Pociągala i budziła lęk, narzucała się uwadze z przemożną siłą. W jej obecności nie sposób było przestać o niej myśleć.

Kietlicz, oparty na rękę, popijał czarną kawę, uśmiechnięty i zaciękany tym nowym dla niego przejawem — odwiecznego problemu kobiecości. Ona małemi łykami sącząc likier z kieliszka — szczebiotała teraz bez przerwy.

— Wyobrazić sobie za nic nie mogę pana, w ułańskim mundurze — tańczącego w takt tej muzyki! Rotmistrz Kietlicz — i sambo! Nie! W pamięci mam pana — na ostatnim balu w Jędrzychowcach! Jakby to wczoraj było, Tańczył pan mazurę z panią Żutą Olszańską. Wyglądał pan jak burza i porywał tancerkę niby brankę wojenną. Spoglądał pan na nią z triumfem, z jakimś uśmiechem okrutnym i szczęśliwym, który mi się potem śnił nocami, doprawdy! Żeby panu błyskały pod wąsikiem — dziko i cudnie... A ja myślałam sobie — z mojego kącika, skąd pan mię nie dojrzał nawet...

— Protestuję przeciw temu stanowczo! No — i co pani myślała, co?...

— Nie... nie powiem lepiej...

— Proszę... bardzo...

— Myślałam sobie: Ach! szczęśliwa, szczęśliwa Żuta!

Raz jeden uczuć się tak w jego mocy i...

— I co? spytał głosem trochę zdławionym.

— I spłonąć jak ćma w płomieniu... dokończyła szeptem. Dalsze słowa słodkiego zachwyty drżały, niewymówione, na roztulonych pieszczotliwie ustach.

— Pani mię wyzywał wymówił też szeptem, a fala bladości, przeszła po śniadej twarzy.

— O nie! o nie rotmistrzu! zawołała, składając błagalnie rączki. Przecie mówiłam że się pana boję! Proszę nie patrzeć tak na mnie!

Powstał, przeciągnął ręką po czole i oparł się o balustradę statku. Przepływali właśnie między Warszawą, a Pragą. Z obu stron wybrzeża, złote światelka dzierzgały — haft świetlany wśród ciemności już zupełnych. Gdzieś niedziedzie, ciemniejsze sylwety wież rysowały się słabo na granatowym widnokręgu. Minął ich jakiś statek, wiozący na pokładzie rozśpiewane towarzystwo. Po wodzie płynęło długo echo chóralnej pieśni. Wysoko, nad głowami, subtelne, znane oczom — rysunki gwiazdozbiorów znaczyły się trochę zamglonym połyskiem. Na zachodzie wśród nieco jaśniejszego nieba, świeciła blaskiem różowym — gwiazda wieczorna. Szła noc wiosenna, ciepła, pachnąca, pełna utajonego życia i tajemnych dreszczów, bezsen-na noc rozkoszy.

(d. c. n.).

MARJA DĄBROWSKA

D Z I K I E Z I E L E N O W E L A

Żóraw skowyczał, wznosząc się pomału z nad cembrowania studni, aż sięgnął obszarów, gdzie świeciło jeszcze słońce i zboczył się u szczytu czerwonym blaskiem.

Woda wygiętą taśmą białych polysków chlustała do koryta, w którym dziewczki myły sobie nogi z gnoju.

Blade strużki mleka przestały cieknać przez skręt chłodnika, dój był skończony i mleczarz Doniży, odjechał swym wózkiem, trzaskającym przez wysokie kamienie bruku.

Marynka z drugą dziewczyną wzięły ostatnią bańkę, która się na wózku nie pomieściła i niosły ją między sobą, a swięgot mleka, leciutko się w naczyniu rozlegał.

Minęły jedno, drugie i trzecie wrota obory. W ciemną czeluść, dzwoniącą łańcuchami wlatywały ze spotęgnowanym w drzwiach szczebiotem czyste granatowe jaskółki. Było widać białe migotanie ich piersi w brązowej ciemności między wiązaniami stropu.

Krwiste słońce toczyło się brzegiem łąki w zaognionych niebiosach, lecz w parku z głębi ogromnych drzew spadły już granatowe chusty cieniów. W zaroślach wszystkie miejsca wolne jeszcze od lepkich liści wiosennych przepoił czarowny róż. Stary sad, stojący poza granicą ozdobnych żywopłotów, stary sad o drzewach potężnych jak w puszczy niósł się wyniosłymi kośćciami grusz, w ciemniejące niebo i pałał jeszcze w zorzy skrzydłem ich kwiecia.

Przed kuchnią w krzakach bzu jak w stosie lin złoty samowar, świszcząc swą cienką piosenkę, snuł wonny dym pomiędzy liście kleiste i pachnące i między rozwite na nich fioletowe piany kwiatów.

Budząc donośne echa, schodzili wszyscy do piwnicy, po której błdził pomarańczowy płomyk świecy.

Marynka stawiała mleko na kwaśne, lejąc do garów jedwabisty płyn. Milczała jak zwykle. Nie była mowna, — była śpiewająca. Pośpiewywała sobie ciągle, a między jedną, a drugą piosenkę rozciągała się cisza, jak między jednym, a drugim śpiewem ptaka.

Gdy zawarto skrzypiące drzwi piwnicy, a w nagłą ciszę wpłynęły przejrzyste chóry żab, odchodzące dziewczki przypominały:

— A przydź pod krzyż na majówkę, nie zabocz.

— Marynka zapewniła:

— Aby wydom kolacje i pościele łóżka.

W czystym zmroku jadalni rozległy się krótkie zgrzyty przerzucanych w koszyku noży i widelców i schrypiły szcęk talerzy. Wnet sypkie bladokremowe ziemniaki okryły stół muslinem pary, a na talerzach z kwaśnym mlekiem odbiły się złote okna pokoju.

Lecz nikogo nie można było dowołać się na kolację. Dzieci znalazły się aż u oprzetki, gdzie, gardząc do-

mem, jadły żytnie kluchy czarne i twarde jak glina.

Wracając stamtąd Marynka minęła stół bandosów, stojący przed ich kuchnią — pod bzem. Już jedli, a łyżki brzęczały na kilka tonów swą ubogą melodję wieczery.

Marynka patrzyła na nich w bok mimochodem, i w cieniach nie widząc, wpadła na kogoś, kto siedł z parku.

— O Matko Bosko — przestraszyła się.

— Hola, rzekł ktoś i dwie mocne ręce odsunęły ją za ramiona, a potem przyciągnęły mimowoli do siebie.

Poznała wtedy, że to był bandos Jan Słupecki, którego widziała była w podwórzu, kiedy zastępował chorego Banasiaka,

Przez jedno oka mgnienie, łapiąc równowagę oparła mu się pięścią o pierś — pierś twardą jak z żelaza, i odskoczyła ze zgrozą.

Pędziła na pokoje w skokach istnego tańca, jak pędzi iskra skrzesana i bez umysłu wyrzucona w powietrze.

Pościeliła łóżka, dudniąc pięta- mi przez szklące się podłogi, z łoskotem pozamykała okiennice, za którym ogród się rozpaścierał jak czarne koronki podbite żółtym jedwabiem zorzy.

Śpiew słowika namiętny i spazmatyczny przenikał czarne zarośla aż do śniadego rozstaju, gdzie przy wiotkiej brzozie stał krzyż.

Nie było na nim Chrystusa rozpiętego. Na skrzyżowaniu przybito deseczkę z Jezusem siedzącym, podpartym na dłoni i osobiłap ociecha płynęła z tej malutkiej postaci Boga, która spoczęła w zadumie na miejscu swej męki, jak spoczywa niekiedy znudzony człowiek pośród swych nie-szczęść.

Dwa płomyki świeczek płasały na krańcach deseczki, a w ich wątłym blasku, w męczącym zapachu przywiązanej do krzyża czeremchy w dy-szającej pieśni błagalnej, krzyż z fraso-bliwym Chrystusem słańiał się i mienił.

Ludzie stali ciasno, wczuli wzajem w swe ciepło, skłonni do płaczu, do uściśnień, do niepoczytalnej tkliwości. Gdy kobiety kękały, nieliczni chłopcy, którzy byli i także, czuli jak one obsuwają się wzdłuż ich nóg.

Kłęcząc, z głową opartą o gałęzie bzu zatknięte za płotek przy krzyżu, Marynka śpiewała w uniesieniu.

Perło droga, Matko Boga,
od wieków ukochana.

modląc się mimowoli do nieznanej gorącej potęgi o której piersi dzwoniące nienaumyślnie się wsparła.

Rano do dnia Marynka szorowała szkopki przy stawie. W burym przededniu jasno zielone liście drzew, stojących ponad wodą były tak nieruchome, że każdy przelot obudzonego ptaka wznicał w nich donośne kaszlnięcia, szepty, wzdychania.

Z bladych pławów mgły, w której rozpełzło się podwórze, wybrnęły krowy, idące na ranną paszę przed dojem — a brzegiem drogi w miękim piachu płynął wóz, stukając lekko drabkami o kłonicę. Fornał siedział bokiem z bosemi nogami zwieszonymi przez drabki, pogrążony w świstaniu.

Z tego świstania, z szorstkiego tarcia wiechciem w obręcz szkopków, z bełkotu wcdy, z głosu bąków i derkaczy dudniącego w białej ciszy łąk wywiązała się niechcący, niewiedzący pieśń.

przyjechał Jasinek
z cudzy ukrainy
namowioł Kasiuchne
namowioł Kasiuchne
do swoi rodziny.

Nim to Marynka prześpiewała, a długa to była pieśń, i straszna to była pieśń, już trzeba było być u krów.

Biały pies szczekał, biegając zbędnie środkiem obory, pastucha krzyczał na krowy, strzykanie mleka budziło w naczyniach tępe odgłosy.

Podczas doju Marynce przywodziło się, że dzisiaj bez niej wydadzą życie dla bandosów.

Zawsze ona je z bandoską kucharką nosiła, ale jeśli się dzisiaj oprzetka nawinie, i za nią „weźmie i to życie wybierze?” — Może nie, ale — jeżeli?

Wracała z drugimi nie na swoich nogach, a na giętkich prętach niecierpliwości Szła z drugimi, lecz przede dworem znalazła się pierwsza, gdy wszyscy byli jeszcze daleko.

Spizarnia była zamknięta na głucho, kucharka Dąbkowska na ławce przed kuchnią skubała sennie kurczęta. Wczesna godzina z swą ciszą uroczystą i surową panowała tu jeszcze w kręgu obłych kasztanów.

Mimo to Marynka krzyknęła.

— Jużęsta wydawali Galicjokom?

— Coś ty się szaleju najadła?

Nie — to może ona sama, Dąbkowska najadła się szaleju.

Stojąc w ciemnożółtej od wschodniego słońca spizarni, wśród oschłej woni sypanych kasz, i miękich tchnień padającej na kopanek maki, Marynka spytała bandoską kucharkę, gdzie oni dziś robią. Kucharka powiedziała, że daleko.

Już wszystko zaniosły i trzeba było odejść Marynce się zdawało że czegoś jeszcze nie wie. Lecz o coby się zapytać?

(d. c. n.).



2)

STEFAN KOŁACZKOWSKI

ZARANIE TWÓRCZOŚCI KASPROWICZA

Lecz ta prawda i wnikliwość rodzą się stąd, iż każdy szczegół życia, z którym się żył poeta, jest mu niezwykłe drogim, każdy budzi mnóstwo skojarzeń, mnóstwo uczuciowych oddźwięków. Innych obrazów, na któreby miał poeta rzeczywistość transponować, porównaniami upiększać, nie trzeba tam, gdzie konkretna rzeczywistość ma walor uczuciowy, ma swój utajony w sobie liryzm. Stąd realizm, naturalizm i liryzm nie tylko się nie wykluczają ale stanowią nierozdzielną jedność:

Po zapłociach po chłopskich ogródkach
Tchną świeżością podstarzałe grusze,
Ze goryczą napełnione dusze
Na ich widok nie pomną o smutkach.

(Powróciły do domu bociany.)

Nie pragnąc egzotyizmu, właśnie drogą naturalizmu, wznosił Kasprowicz przed Wyspiańskim do literatury jedyny egzotyizm (w stosunku do watorów, którymi operowała sztuka, był to egzotyizm) w opisach chłopskiego obejścia, zagrody, uroków zapuszczonych ogródków, sadów i zapłoci — wznosił piękno ziół, traw i kwiatów polnych ponad konwencjonalne piękno róż i ogrodów. Tytuły, jakie dawał opowiadaniom z *Swojskiej flory*: *Rumianek*, *Bieluń*, *Psianka* itp. są w znamienności swej czemś dlatej sztuki symbolicznym.

W związku ze szczegółowością opisów pojawia się często specyficzna Kasprowiczowska refleksyjność, z właściwą mu wtedy rozlewnością stylu, oddająca każdy szczegół niby w miłośnym rozpamiętywaniu, z długimi okresami i *enjambements*.

Drogą, wiodącą ku wiosce,
Za lekkim wiatru powiewem
Suchy się piasek nikłemi
Unosi w górę obłoki
I szarym cięży atomem
Na trawy wąskich listeczkach,
Co tu i owdzie z nad rowów,
Świeżo kopanych, zieloną
Poczyna kępą kielkować.

(Wiosna)

W analogiczny sposób oddaje poeta nie tylko świat przyrody ale wszelką otaczającą rzeczywistość, świat chłopskiego bytowania i „nizin” społecznych.

W okna chałupy, zwrócone
Ku chmurnej stronie zachodu,
Bije i bije szaruga.
A kropla deszczu za kroplą
Wsiąka przez szybę stłuczoną,
Którą zapchano szmatami:
Snać to ostatki sukmany,
Bo skrawek zewnątrz wiszący,
Tędy owędy drucianym
O szkło zaskrzypi haczykiem.

(W chałupie)

Temu typowi formy rozlewnej, kopicko-lirycznej i refleksyjno-lirycznej w tej sferze naturalizmu przeciwstawia się inny typ, którego walorami są dosadność, zwięzłość lapidarność i jedność. Za przykład służyć tu może urywek z wiersza *Światło Boże*.

Światło boże padło na ulicę,
Z całej gęby roześmiał się dzionek
Onem słonce, co pośród koronek
Chmur porannych wytrzeszcza żrenicę.

Ilościowo przeważa jednak w tym okresie twórczości typ gawędy i opowiadania zabarwionego liryzmem; może w tem przejawia się jeszcze pewna nieśmiałość, czy niepewność lotu; liryzm oplata tu fabułę gawędy, tak jak tematy biblijne są przecie pomocą do wypowiadania swego *credo*, ideologii, zanim, gdy wznoszą jego siły poetyckie, przekształca je w hymnach *Ginącemu Światu*, na symbole. Niewątpliwie postulaty artystyczne, stawiane sobie w tych gawędach identycznie są z temi, które stawiali sobie noweliści, z okresu naturalizmu. Walor ich leży w sugestywności oddania prawdy, w dobitności charakterystyki. Wiersz spowija je w nastrój liryczny, ale niekiedy z natury rzeczy zarywać tu musi poeta wierszowaną prozą.

Podnosząc najprzód z łąki sztuki Kasprowicz z prądami epoki wskazać musimy i na elementy dydaktyzmu i tendencyjności w we wczesnych jego poezjach. Wśród nich znajdujemy i wiersze bojowo-programowe, przechodzące czasami w wierszowane rozprawki, znamionując młodzieńcze przejęcie się hasłami rozsądku i trzeźwości ówczesnych działaczy społecznych.

Głosim swobodę myśli, wolność ducha
Wierząc w rozsądek i szlachetność ludzi,
Nie katowskiego potęgę obucha.
A kiedy dzisiaj już nas nikt nie złudzi
Zaobłocznego wesela fantomem,
Nie będziem czekać, aż nam ten rozgrudzi
Zews lub Jehowa swoim ostrym gromem,
Lecz sami schwycim plugi w rękę czarną
I tu będziemy siali szczęścia ziarno

(Oni i my)

Nie tylko zapowiada tam młody poeta, że przyjdą czasy, gdy „zaziemskiej rozkoszy puharem żadna już siła więcej ich (ludzi) nie złudzi” (*Giordano Bruno*), ale opiewa rozsądek:

Trzeba nam wiary, że na rozsądku
I na miłości oparty
Śród wiekowego gmach nasz porządku
Złotem lśnić będzie.

(Trzeba nam wiary)

Ten „rozsądek i ten „utilitaryzm”, jest tu poprostu wyrazem jednej z nieuniknionych form młodzieńczego doktrynerstwa, przez którą muszą przejść wszelkie głębsze i istotniejsze prze-

świadczenia jeśli ich istota ma stanowić integralną część stosunku do świata. Wskazują te elementy oczywiście nie na ducha poety, lecz na tę jedną z cech jego natury krzepkiej: na zainteresowanie sferą rzeczywistości praktycznej, żywe przejmowanie się hasłami swej epoki. Na, tę cechę tężyzny i trzeźwości sądu dzięki której i późniejsze mistyczne przeżycia i wysokie uduchownienie zmysłu dla ziemi, dla zadań praktycznych, ani miłości dla nich w nim nie pozbawiają.

Podkreślone tu sądy i hasła młodego poety, ich rozbieżność w stosunku do tych, które poniżej omówimy, świadczą więc tylko o bogactwie tej natury. Bojownik sprawiedliwości społecznej sam nie zdaje sobie jeszcze sprawy, ile w nim, jako ludowcu, jest religijnej wiary w zapanowanie innej prawdy, ile z reformatora o organizacji religijno-etycznej. Czciiciel przyrody, gardzący metafizyką, nie uświadamia sobie w pełni, jakie uczucia religijne budzi w nim ten tak pozornie daleki od metafizyki kult przyrody:

Rzucam te wszystkie, którem wyśnił gody,
Stokroć bogatsze znalazłszy dziś mienie
W łonie przyrody

(Na łące)

Są to wszystko jeszcze niewspółmierności kształtującego się stosunku do świata w okresie młodzieńczym. Tęsknoty metafizyczne wyrażone są czasami formułą hasła społecznego, albo animozje klasowe wyniesione zostają w sferę metafizycznych przeciwieństw dobra i zła. Za doskonały tego przykład może służyć ten ustęp z poematu *Chrystus*: Szatan ukazując Chrystusowi potęgę zła powiada tam:

Patrz, patrz, te opasy
To fabrykanci i bankierzy tłusci,
Twego królestwa obrońcy sędem.

Przeświadczenia, najgłębsze tęsknoty i przyjęte poglądy, żywiołowy liryzm, marzenia posłannika-reformatora i patos prometejski i przeczą sobie nieraz, lecz najczęściej składają pieśń jednobrzmiącą, społeczną. Poemat *Chrystus* jest najlepszym przykładem splecia się tych wszystkich pierwiastków w poezji Kasprowicz z epoki jego młodości.

Niezależnie od tych cech naturalizmu, realizmu, dydaktyzmu i tendencyjności od najwcześniejszych wystąpień zarysowuje się w utworach indywidualność poety, jego tęsknota metafizyczno-etyczna, jego głęboki liryzm — jednym słowem wszystkie te pierwiastki, które stanowią o jednolitości całej twórczości Kasprowicz. Przejdźmy więc do tych pierwiastków najistotniejszych.

(c. d. n.),

BEZIMIENNA PATRJOTKA

Nie żyje już od lat 30-tu przeszło. Na prawosławnym spoczywa cmentarzu. Żaden krzyż ani napis nie wskazuje jej mogiły. Społeczeństwo nie wie o niej nic, z wyjątkiem tych niewielu już dzisiaj osób, które patrzyły na cichą, ale owocną jej pracę.

Cichą musiała być z konieczności, gdyż rząd rosyjski szpiegował wszelką działalność oświatową, tem czujniejszy był, kiedy prowadziła ją osoba wyznania prawosławnego i rosyjskie nosząca nazwisko. Te dwa dziedzictwa, po ojcu Rosjaninie wzięte, zaciężyły na całym życiu Moniki. Z matki Polki i katolickiej urodzona, całą duszą, całym sercem Polką się czuła. Chodziła zawsze do kościoła, nigdy do cerkwi. Prześladowano ją za to, ale ona nie opuściła mimo to żadnego święta, aby nie pomodlić się „do swego Boga“.

Miłość do kraju, jaką w sobie nosiła, rozwinęła jeszcze przez obcowanie z sybirakami: Celsem Lewickim, Henrykiem Krajewskim, którzy w domu jej matki, wówczas już wdowy, bywali. Poznała też Monika Traugutta i innych członków Rządu Narodowego.

Były to czasy powstania. Cyta-dela widywała ją często. Dążyła tam stale mimo mrozów i snotę. Wątpła, drobna, ułomna istota silnego była ducha i odporności niezwyklej. Wozila dla więźniów bieliznę, szarpie, jedzenie, odzież, listy. Jeździła regularnie co poniedziałek, a potem w piątek lub sobotę zabierała puste koszyki, aby je znowu napełnić. Trudności miała bardzo wiele. Pośrednictwo w oddawaniu korespondencji było wprost niebezpiecznym. Ale Monika nie lękliwego była serca. Nie wahała się i różnych używała sposobów, aby dopiąć celu.

Dom jej był schronieniem dla powstańców. Mieszkała razem z matką i wujem, generałem wojsk rosyjskich. Nie domyślał się on nawet, że pod jego dachem znajdowali się nieraz ludzie, na śmierć skazani, a przed czujnym okiem rządu uchodzący zagranicę pod przybranym nazwiskiem. To była zasługa Moniki. Jak to czyniła, jak zrecznie tajemnicą otoczyć ich umiała, to musimy podziwiać. Mało kto poza nią wiedział o tem zapewne.

Działalnością swą obejmowała też rodziny więźniów i wygnańców. Opiekowała się ich dziećmi i żonami. Niosła wszędzie dobre słowo, uśmiech anielski i łagodną, a silną dłoń pomocy.

Niestety zdradził ją list, pisany do niej z zagranicy. Zaresztowano Monikę i trzymano najpierw w X Pawilonie, później w Modlinie w Kazamatach. Znęcał się tam nad nią prezes komisji śledczej, Tuchołko. Spokój jej i opór do wciekłości go do-

prowadzały. Wyrażał jej pięściami wołając: Z mężczyznami można sobie dać rady, ale jak te czarownice przyjdą, to nic ich nie pokona.

Więzienie szarpnęło Monikę pod względem fizycznym. Długo potem leczyć się musiała. Z czasem powróciła do pracy. Zmienione warunki polityczne, konieczność zarobkowania wpłynęły na to, że została nauczycielką. Założyła w Warszawie przy ul. Złotej № 34 dwuoddziałową szkołę początkową. Kochała dzieci, dziewczęta młode, wyrozumiała była na ich swawole i wybryki. Zawód pedagogiczny umiowała gorąco, gdyż dawał jej możność przelewania zapału swego w serca dziecięce. Z największą gorliwością uczyła języka i historii polskiej. Budziła przywiązanie do przeszłości, do Ojczyzny umęczonej, walczyła tą drogą z groźną dla nas ruschyzną.

Jako pedagog stała Monika bardzo wysoko. Z wskazówek jej i sposobu prowadzenia lekcji korzystały młodsze nauczycielki. Radziły się jej w niejednej sprawie. Umiała ona najtrudniejszą kwestję tak rozwikłać że prostą i łatwą do przeprowadzenia się stawała. Pełne miłości i wyjątkowej słodczy serce grało tu dużą rolę, ale i rozum nieprzeciętny dopomagał.

Szkoła jej nie znała kar. Łagodnym obejściem, wielką dobrocią osmielała dzieci, zahukane przez otoczenie domowe. Jeśli uczeń zawinił, to Monika umiała tak na niego wpłynąć, że wstydił się swego postępu. Kochały ją też wszystkie dzieci. Przygarniała głodne i zziębnięte, posiłkiem je ratowała. Dzieliła zajęcia i troski wychowanków swoich. W krótkce zdobyła serca ich i rodziców. Z całym zaufaniem zwracali się do niej w każdej sprawie.

Zupełnie inaczej odnosił się do niej rząd rosyjski. Apuchtin, kurator okręgu naukowego warszawskiego, zwiedzał nieraz jej szkołę i utrzymywał, że należałoby ją „zakryć“. Nie powiedział nigdy, czemu.

Szkoła istniała w dalszym ciągu, kierownicze jednak brakło sił coraz bardziej. Trawiła ją choroba. Ukrywała to przed dziećmi, uczyła ciągle, w ostatnich czasach dopiero korzystała z pomocy młodej, oddanej sobie towarzyszkii.

Myśl, że na prawosławny cmentarz ją zabiorą, dręczyła ją nieustannie. Całe życie unikała wymawiania nazwiska swojego, przedstawiała się tylko: Monika. Dzieci znały ją również tylko pod tem imieniem. Nikomu nie zwierzała się z przynależności do kościoła prawosławnego. Śmierć jej miała to ujawnić dopiero. Wiedziała to biedaczka i z rozpaczą wołała: Jak tylko oczy zamknę, zaraz te sępy (t. j. popi) po mnie tu wpadną.

Zmarła 28 stycznia 1890 r. Najbliższe kółko przyjaciół oddane jej zupełnie, postarało się, aby pogrzeb odbył się w tajemnicy. Dzieciom po-

wiedziano, że pani jest chora, więc lekcji dzisiaj nie będzie. Trumnę wniesiono wieczorem. Szła za nią siostra Moniki, Witkowska i dwie wierne jej towarzyszkii pracy. Boczniemi ulicami w mroku nocy kroczył ten kondukt małej. Był w nim jakiś tragizm niewypowiedziany, zrozumiały jedynie dla duszy polskiej, która nigdy nie widziała: „Jak się matki oko świeci I nad dzieckiem swem anieli“.

Ciało s. p. Moniki wstawiono do kościoła, przerobionego na cerkiew, a potem złożono na cmentarzu wśród rosyjskich grobów. I tak spoczywa tam dotąd.

Długo nie wolno było mówić ani pisać o niej. Dzisiaj należy wspominać Monikę, aby młode, w wolności chowane pokolenie, wiedziało, jaką cichą, a ofiarną mękę przechodzili ci ludzie, którzy niegdyś dla oswobodzenia Ojczyzny pracowali z wiarą, że wyproszą „to, co boskiem jest u Boga“.

Z tą myślą stańmy nad zapomnianą mogiłą i pytajmy samych siebie, czy nie powinny na niej być wyryte słowa: Monika—Polka.

Zofja Findeisenówna

WOODROW WILSON

Stratę jaką poniosła ludzkość, ze śmiercią Wilsona, będzie można dopiero ocenić w perspektywie dziejów. Jeżeli stosunki międzynarodowe układać się będą w przyszłości tak jak ich drogi wykreślił wielki altruista amerykański, jeżeli sprawiedliwość i współczucie dla wszelkiego trudu i pracy połączone z uznaniem godności ludzkiej i prawa narodów do wolności i do wszechstronnego rozwoju, staną się nową ewangeliją ludów, zawdzięczać to będziemy Temu, który te idee rzucił w skłócone i walczące ze sobą zbiorowisko ludzkie.

Rzucił on też hasło odbudowania Polski, jako niezbędnego czynnika równowagi europejskiej, hasło, przyjęte potem i wprowadzone w życie przez państwa zwycięskie. W tem wskazaniu szlachetnego człowieka, tkwiła myśl koniecznej solidarności ludów, i wolnej współpracy w celu osiągnięcia ideału dobra, sprowadzenia nowego wymarzonego i upragnionego od wieków: Królestwa Bożego na ziemi.

My, Polacy, rozumieliśmy to już oddawna, że tylko zwycięstwo lepszych stron natury ludzkiej, nad drapieżnością i bezprawiem wolność nam zapewnić może, głosili tę ideę nasi wielcy poeci z epoki romantyzmu i gdy wołał Krasiński „celem ludów szlachetnienie“, oczyma duszy widział tę przyszłą epokę błogosławioną, w której ustanie wszelki gwałt i panowanie „człowieka nad człowiekiem“. Wilson był jednym z tych ludzi, którzy dla zbliżenia tej epoki całe życie pracowali i jak znów powiedział inny nasz myśliciel Stanisław Szczepanowski:

„kładli granity pod tęczę dawnych bezowocnych marzeń”.

To jednak jeszcze przypomnieć nam należy fakt może nie wszystkim znany; oto filozof i działacz społeczny polski, Karol Libelt, zmarły w 1872 r. w czasie pamiętnej wiosny ludów 1848 r. na zjeździe ludów uciemiężonych w Pradze czeskiej, postawił plan ogólnego Trybunału narodów, któryby zapobiegając wojnom, łagodził wszystkie konflikty międzynarodowe. Możemy więc być dumni, że twórcza i humanitarna myśl polska zapoczątkowała to co później Wilson wcielił w użycie pod formą Ligi narodów, z którą w myśl naszych najpiękniejszych tradycji, powinniśmy najgoręcej współpracować.

Cześć pamięci wielkiego człowieka! Jako obywatel wolnych i zjednoczonych Stanów amerykańskich, mógł on dokonać tego dzieła, o którego urzeczywistnienie Polska tak długo a daremnie walczyła.

I. W. K.

NASZE ŻYCIE

Życie wielkiego miasta pełne jest zawsze niepokoju i zamętu, przystosowują się do tego pisma codzienne i zamiast notować to wszystko, co stanowi treść istnienia, objawy i wyniki pracy tak jednostkowej jak zbiorowej, zapełniają szpalty opisami przestępstw i zbrodni lub podsycają waśń wewnętrzną. A ta waśń, niestety, wre u nas, tem więcej gwałtowna i zażarta odkąd odzyskaliśmy niepodległość.

Jeszcze w 1915 r. a więc w początkach wielkiej wojny pisał, przebywający wówczas w Bernie szwajcarskiem, znany historyk p. Jan Kucharzewski, autor świeżo wydanej książki p. t. „Od białego do czerwonego cara”: „Wyobrażam sobie, że z chwilą odzyskania ojczyzny, Polacy zaczęli sobie wyrzucać najrozmaitsze winy i błędy; zamiast iść zgodnie do czynu budowania Polski, poruszać będą przeszłość i rozbierać nie tylko to kto ją mniej lub więcej kochał, ale i to kto ją zdradzał”.

Słowa te sprawdziły się w wielkim procesie jaki się rozgrywał przed naszymi oczyma w ciągu ostatnich tygodni. Stały się naprzeciw siebie dwa obozy, dwie polityczne orientacje, powołano setki świadków z tej i tamtej strony, ludzi przeważnie czynnych społecznie i zasłużonych, aby dali świadectwo prawdzie: kto miał słuszość, czy ci co wiązali sprawę wyzwolenia Polski ze zwycięstwem Ententy, czy ci, co zaufali, na razie, obietnicom Niemców i zręby państwowości, pod ich opieką, tworzyli.

Gdybyśmy więcej ufali sobie wzajemnie, gdyby w sercach naszych nie tkwiło żądło ciągłych podejrzeń, gdybyśmy więcej wierzyli w przyrodzoną godność człowieczą, nie wynikałyby takie bolesne procesy na naszym gruncie. W życiu trzeba wszyst-

ko zrozumieć i wyrozumieć i zawsze lepiej brać je z lepszej strony, tem więcej że zawsze ją odnaleźć można. W procesie, o którym mówię, poruszona także została sprawa licznych naszych uchodźców wojennych a właściwie wygnańców w głąb Rosji zapędzonych. Jakaż część głęboką należy mieć dla tych Polaków co się gorąco ich losem zajęli! Dzięki im tysiące rodzin, utrzymanych przy życiu mogło powrócić do kraju, dzieci ich nie uległy zepsuciu i zdziczeniu, bo założono dla nich tysiące szkółek na wielkich obszarach Rosji, nauczycielki polskie ratowały tę przyszłość naszą od wpływów bolszewizmu; rozproszone od Wołgi do Uralu, od Krymu do Turkiestanu. W Petersburgu zakładano w tym celu seminarja nauczycielskie lub kilkomiesięczne kursy a wychowanki tych zakładów wysyłano do wszystkich większych skupień nieszczęsnej ludności polskiej. Tworzono ochronki, kursy dla alfabetów, prowadzono wykłady ogólnokształcące. Nie dosyć na tem, grupa studentek Polek studujących na uniwersytecie petersburskim, z największym niebezpieczeństwem przedarła się do kraju, przez kordon wojsk, w czasie okupacji niemieckiej i tu oddała się najcięższej służbie w szpitalach dla chorób zakaźnych. Wiele z nich padło na posterunku. Młodzież zaś męska, studencka, skupiona przy swoim piśmie „Głos młodych” także drogą okólną wróciła do kraju i wstąpiła do legionów. Ileż z nich zginęło, niektórzy już w drodze powrotnej ulegli grożącym im niebezpieczeństwom. Nie wiem dla czego, w wielkich procesach politycznych, mówi się o tem wszystkim tak mało a za to tak wiele o takich czy innych dziś już bezprzedmiotowych „orientacjach”.

Wysuwamy z lubością to wszystko co każe nam się nienawidzić a pomijamy i lekceważymy te fakty, za które musielibyśmy się pokochać i uszanować wzajemnie!

Z tem większą skrzętnością staramy się zaznaczać te objawy, które zdają się świadczyć, że wady i błędy starszego pokolenia nie przechodzą na młodzież, ale że ta, przeciwnie, pragnie podnieść poziom naszego życia etycznego i wprowadzić w nasze stosunki wewnętrzne więcej tolerancji i szlachetnej wyrozumiałości.

Oto leży przed nami pismo młodzieży akademickiej, którego pierwsze numery obecnie się ukazały. Zaraz na wstępie spotykamy bardzo piękny artykuł p. t. „O przemianę dusz”. Młody publicysta pisze w nim te słowa: Oto na tem pokoleniu, które ma pierwsze wkroczyć w szranki publicznego życia wskrzeszonej Rzeczypospolitej, ciążą specjalne, doniosłe zadania.

Głębszą jest jego rola niż jakiegokolwiek ogniwa w łańcuchu poprzednich pokoleń, bardziej odpo-

wiedzialną. Ma ono bowiem wnieść nowe pierwiastki w życie narodu. Ma jakby przypieczętować jedną epokę a rozpocząć drugą, na nowych podstawach. Musi ono zrealizować wielkie dzieło demokracji w Polsce a więc założyć fundament jej państwowego bytu. Musi też wykrzesać ze społeczeństwa poczucie państwowego instynktu, którego brak mści się tak okrutnie na rozwoju naszych pierwszych państwowych poczyni. W drugim numerze pisma, młodzież uważając, że jednym z głównych braków naszego życia społecznego i politycznego, jest brak zrozumienia zasad etycznych, w ten sposób formułuje swoje zapatrywania w tym względzie: „Na czem polega istota etyki społecznej”? Na to pojęcie składa się szereg momentów zasadniczych: uczciwość bezwzględna w walce i jej metodach, szczere i otwarte wyznawanie swej ideologii i swoich dążeń, kulturalne i rycerskie traktowanie przeciwnika bez względu na to, czy on słabszy, czy silniejszy, poszanowanie jego przekonań i wogóle poszanowanie praw drugiej strony a zwłaszcza mniejszości”.

Żywem natomiast zaprzeczeniem etyki są wszelkie objawy fanatyzmu, ślepa wiara w nadprzyrodzony autorytet własnych poglądów, dążności do osiągnięcia swych celów, za wszelką cenę, dalej wprowadzenie subiektywnych, czy użytecznościowych kryteriów moralnych. Dalej dodaje młodociany reformator, że tylko urzeczywistnienie zasad etycznych w życiu zbiorowem umożliwić prowadzenie twórczej pracy.

Młodzież, pod temi hasłami, przystępuje do reformy życia akademickiego, chce zreorganizować wszystkie jego zrzeszenie tak samopomocowe, jak koła naukowe, chce stworzyć z Rzeczypospolitej akademickiej wzór dla późniejszych swoich, już dojrzałych poczyni, w życiu społecznym i politycznym, ojczyzny. Znaleść on powinien gorące poparcie matek i sióstr swoich, które z nią współpracujące na tej szlachetnej drodze, przyczynią się, tem samem, do podniesienia ogólnego poziomu naszego życia wewnętrznego.

I znowu mam zanotować odwiedziny przedstawicieli jednej z obcych narodowości, które tak chętnie zapoznają się obecnie ze zmarłychwstałą Polską. Oto Warszawa gościła w swych murach wycieczkę węgierską. Urządzono dla niej przyjęcie w sali Techników, gdzie studenci, nasi goście, tańczyli czardasza, a poprzedniego dnia, w konserwatorium, przybyli artyści popisali się ze sztuką muzyczną. Pamiętamy przecież starą piosenkę: „Węgier, Polak dwa bratanki”. I faktycznie jest między dwoma narodami wiele podobieństwa; łączy je właściwy im animusz rycerski, wykazany wspólną walką na polach litewskich „za wolność naszą i waszą”.

Równocześnie prawie z pobytem Węrow w Polsce, wyszła b. ciekawa książka prof. Uniw. Jagiellońskiego p. Jana Dąbrowskiego, rozpoczynająca cykl mający objąć wszystkie państwa współczesne p. t. Węgry. Autor z ubolewaniem mówi o ciężkim okaleczeniu kraju, o zwięzieniu jego obszaru jakie stało się wynikiem zwycięstwa Ententy nad państwami centralnymi. Mając najwyższe uznanie dla genjuszu węgierskiego, który wydał takich mistrzów sławnych i takich gorąco miłujących synów ojczyzny, jak Maurycy Jokay, nie możemy jednak zapomnieć, że gnębiono tam mocno naszych braci Słowian i że takie błędy mścić się zawsze muszą na tych co je popełniają. Cieszymy się jednak, nasza młodzież zapowiada nam nową erę, w której nie będzie zwycięzców i zwyciężonych, ale cała ludzkość, zgodnym, szlachetnym wysiłkiem, pracować będzie dla osiągnięcia ideału piękna, dobra i sprawiedliwości.

I. W. K

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

CZY MAMY NAŚLADOWAĆ

Z Nowego Yorku nadchodzi wiadomość, że między burmistrzem miasta Palmetto, Meyersem a jego przeciwniczką polityczną, panią Clark, odbył się pojedynek na pistolety.

Pani Clark starała się o urząd burmistrza, ale pokonana była przez Meyersa i z tego powodu przyszło do pojedynku. Pierwszym strzałem p. Clark raniła ciężko Meyersa, który—zembrawszy wszystkie siły, strzelił, kładąc trupem rywalkę swoją, a wtedy córka jej i syn, obecni przy pojedynku, rzucili się na Meyersa i dobili go kilkoma strzałami.

Pierwsza krwawa rozprawa kobiety z męskim swoim współzawodnikiem...

Czy na tem polega równouprawnienie? Czy dlatego przed kobietą rozwarły się ławy poselskie i wierzeje wszystkich zawodów, aby brutalnością swoją prześcignęła mężczyzn i do aktów osobistej zemsty pociągnęła dzieci swoje, piętnując je hańbą zbrodni?

Gdzie ewangelja kobiecości; łagodzenie a nie zadrażnianie sporów? Gdzie sakrament wnoszenia pokoju i zgody?

Po wsze czasy kobiety były najzarliwszymi szerzycielkami pacyfizmu i przeciwniczkami walki orężnej, o ile nie zachodziła potrzeba obrony granic własnego kraju. Po wszystkie czasy kobieta podnosiła protest przeciw krwawemu załatwianiu spraw honorowych. Czyżby zdobycie równouprawnienia miało w niej zbudzić rewolucyjną megere, która okrucień-

stwem swoim prześciga najzapamiętaleszych katów ludzkości?

Twardo na stanowisku przynależnych sobie praw winna stać kobieta, nic nie uрониć z tego, co wywalczyła sobie własnym trudem i własną zasługą. Ale w metody walki niech nie wnosi zacieklej mściwości i żądzy krwi. Silna wola, wytrwałość, śmiałe dążenie do celu w poczuciu wartości swojej, wyzywanie do współzawodnictwa na wytrzymałość i poczucie obowiązkowości to jedyny oręż w pojedynkach o pracę i stanowisko zawodowe.

C. W.

„MANIFEST“ JAPONEK

Jedna z postępowych organizacji kobiecych w Japonii ogłosiła następujące: „Żądania kobiet japońskich, skierowane pod adresem ich małżonków“:

— Proszę cię, abyś wstał wtedy, kiedy ja przed tobą stoje.

— Proszę cię, abyś mi nie robił wymówek w obecności moich dzieci i osób postronnych.

— Jeśli wychodzisz na dłuższy czas z domu, powiedz mi proszę, gdzie mam cię szukać w razie potrzeby.

— Proszę cię, abyś mię uprzedzał, kiedy wychodzisz z domu i kiedy doń powrócisz.

— Proszę cię, abyś mi pozwolił mieć od czasu do czasu także jakąś przyjemność,

— Proszę cię, abyś mi przeznaczył pewną stałą sumę na moje wydatki osobiste.

— Proszę cię, abyś nie żądał od innych tych usług, które ja sama oddać ci mogę

— Proszę cię, abyś unikał w obecności twych dzieci takiego zachowania się, które mogłoby im dać zły przykład.

— Proszę cię, o udzielenie mi codziennie odrobiny czasu, który mogłabym poświęcić na czytanie i własny mój rozwój duchowy.

— Proszę cię, nie wołaj nigdy na mnie: „Ej ty tam — chodź tutaj!“ Jestem twoją żoną i jako taka, zasługuję na szacunek.

Zdawaćby się mogło, że życzenia te naprawdę nie są zbyt wygórowane i opierają się jedynie na poczuciu elementarnej sprawiedliwości i godności ludzkiej. A jednak ogłoszenie ich wywołało burzę protestu na la-

mach prasy japońskiej, która nie wahała się nadać tej odezwie szumnego tytułu: „Manifestu kobiecego“.

Aby zrozumieć to zjawisko, trzeba sobie uświadomić stan głębokiej zależności — śmiało rzec można: niewoli w jakiej tradycja i obyczaj utrzymuje od wieków kobietę japońską. Słynny moralista Kaibara w dziele swem p. t. „Onna Daigaku“ sprecyzował w następujący sposób rolę kobiety:

„Jedynymi cnotami, któremi odznaczyć się winna kobieta są: uprzejmość, posłuszeństwo, czystość, wdzięk i łagodna uległość. Kobieta niezamężna winna jest posłuszeństwo ojcu, posłubiona — świekrowi i małżonkowi, wdowa — synowi“.

Dodajmy do tego obyczaj, powierający kierownictwo domu i władzę nad służbą matce męża, nie zaś synowej — a będziemy mieli pełny obraz tej zależności moralnej i materialnej, w której upływa życie kobiety japońskiej.

Reakcja przeciwko temu uciskowi jest wprawdzie powolna, lecz nieunikniona. Zawijają się już i w Japonii stowarzyszenia kobiece o celach emancypacyjnych. Jedną z najnowszych zdobyczy tych pionerek nowego kierunku jest uzyskanie zniesienia prawa, zabraniającego dotychczas kobietom japońskim uczestniczenia na zebraniach politycznych o charakterze publicznym.

KOBIĘTA WYGRYWA REKORD PŁYWACKI

Młoda, zaledwie dwudziestoletnia angielska, Miss Lillian Harrison, zwyciężyła nie dawno w rekordzie pływackim, o który napróżno ubiegali się słynni pływacy — mężczyźni, między innymi Euriqne Trabocchi, który przepłynął kanał la Manche w zeszłym roku i rywal jego Romeo Maciei.

Panna Harrison przepłynęła mianowicie rzekę La Plata poczynając od miasta Kolonji na brzegu urugwajskim, wylądowała zaś w Punta Lara. czyli przebyła przestrzeń z górą 30 mil (ang.). Pozostawała w wodzie przez 24 godziny i 19 minut.

Współzawodnicy p. Harrison płynęli czas jakiś w poprzek rzeki, dali się jednak w końcu zwalczyć prądowi i nie zdołali osiągnąć przeciwnego brzegu.

NOWE PLACÓWKI PRACY KOBIECEJ

W mieście Vaucouver (St. Zjedn.) istnieje fabryka i garaż samochodowy, których personel, począwszy od dyrektora fabryki, inżyniera — fachowca. a skończywszy na szoferach, składa się wyłącznie z samych kobiet.

Niektóre z tych szoferek brały udział w wojnie europejskiej, jako kierowniczkami ambulansów samochodowych na froncie francuskim.



„ZJAZD MŁODYCH”

Dnia 17 i 18 b. m. odbył się zjazd 3-ch stowarzyszeń kobiecych: Koła młodych Ziemianek, Polskiego Stowarzyszenia Młodych Kobiet i Koła Młodych przy Katol. Związku Rob. Polsk. — W zjeździe brały też udział delegatki Koła Polek oraz innych stowarzyszeń kobiecych i zaproszeni goście.

Zjazd rozpoczął się Mszą św. w kaplicy św. Wincentego à Paulo, podczas której ks. Arcybiskup Teodorowicz w podniosłym przemówieniu na temat parabol ewangelicznych o pszenicy i kłakolu zachęcał uczestniczki do pracy cichej, wytrwałej, opartej na ideałach miłości chrześcijańskiej, nie zaś nienawiści i walk partyjnych.

Obrady w pierwszym dniu odbywały się w sali Cent. Tow. Roln. Przewodnictwo zjazdu objęła powołana przez aklamację senatorka J. Szembekówna, która w pięknych i gorących słowach skreśliła harmonię ideałów i dążeń pomiędzy dzisiejszym a wczorajszym pokoleniem. Zaznaczywszy, iż młodzież polska przeżyła zwycięsko to, jak ją nazwała „zarazę moralną“, czyli żądzę zbytku i użycia, szerzącą się po tej straszliwej wojnie w całej Europie — podkreśliła, iż kobieta dzisiejsza rozpoczyna u nas swą pracę w warunkach niezwykle pomyślnych, poczem w krótkich słowach scharakteryzowała cele i ideały trzech młodych stowarzyszeń, z których inicjatywy zjazd został zwołany.

Następnie przemawiały przedstawicielki innych stowarzyszeń kobiecych, witając zjazd w imieniu swych organizacji, a mianowicie: Pos. Puzyńska (N. O. K.), p. Błeszyńska (Koło Polek), p. Chłapowska (Stowarz. Zjedn. Ziem.), p. Klawerowa (Koło Pracy Kobiet), oraz delegatki Akademickiego Związku Odrodzenia i Solidarności Akademickiej.

Dłuższe przemówienia wygłosili: ks. poseł Nowakowski i prezes C. T. R. p. Fudakowski nawoływał do walki z szerzącą się obecnie wśród inteligencji naszej chorobą pesymizmu, jałowego narzekania i marazmu — i podnosił rolę, jaką kobieta polska może odegrać w tej walce.

Na zakończenie przedstawicielki organizacji, z ramienia kt. zjazd został zwołany, streściły program i dotychczasową pracę swych stowarzyszeń, oraz nakreśliły dalszy plan pracy.

P. Sołtanówna w imieniu Koła Młodych przy Kat. Zw. Kob. Pol. wymienia dwa naczelnne postulaty tego stowarzyszenia: samokształcenie w pracy społecznej, pojęte w duchu zasad chrześcijańskich, oraz łączność z innymi organizacjami o pokrewnych ideałach, celem koordynacji i podziału pracy. W myśl tych zasad Koło zorganizowało cykl wykładów o pracy społecznej z dziedziny socjologii i prawa. W projekcie są: 4-ro tygodniowy praktyczny kurs pracy społecznej, kursy dla kierowniczek klubów dziewczęcych, zorganizowanie biblio-

teki wydawnictw z zakresu pracy społecznej i ułożenie bibliografii tego przedmiotu.

W dziedzinie współpracy z innymi organizacjami Koło pełni rolę biura pośrednictwa pracy społecznej — werbuje członkinie do innych organizacji, informuje o działalności tychże oraz współpracuje z nimi w różnych przedsięwzięciach, np. pomagając Polskiemu Białemu Krzyżowi w urządzeniu gwiazdki dla żołnierzy w zbiorcach i t. p.

P. H. Dernałowiczówna w imieniu Młodych Ziemianek zaznacza, iż organizacja ta powstała w styczniu 1918 r. przy Kole Zjedn. Ziemianek i rozwinęła swą działalność w tym samym co i ono kierunku. Cel pracy — podniesienie dobrobytu i stanu moralnego wsi polskiej, przez współpracę inteligencji ziemiańskiej z ludem wiejskim.

Podczas inwazji bolszewickiej Koło Młod. Ziem. stworzyło sekcję pomocy rannym żołnierzom, objęło opiekę nad jednym z pawilonów szpitala Ujazdowskiego, prowadziło także wspólnie z Kołem Polek herbaciarnię dla żołnierzy. Po wojnie utworzono sekcję przemysłowo-handlową, prowadzono kursy kilimkarstwa poczynając od stycznia 1923 r. zorganizowano w porozumieniu z Polską Macierzą Szkolną szereg kursów gospodarczo-społecznych dla nauczycielek ludowych w 10-ciu miastach prowincjonalnych na terenie b. Królestwa, a także, na specjalną prośbę dwóch posłanek do sejmu górno-śląskiego, i na Górnym Śląsku. Potem prowadzono kursy ogrodnictwa oraz gier i zabaw na wolnym powietrzu.

P. Morawska w imieniu Pol. Stow. Mł. Kob. kreśli dzieje tej organizacji, która powstała w listopadzie 1922 r. po odjeździe do Ameryki I. W. C. A. przyjęła prace tego stowarzyszenia. Celem towarzystwa jest zrzeszenie wszystkich kobiet do pracy społecznej, opartej na zasadach chrześcijaństwa, z wyłączeniem wszelkiego zabarwienia politycznego i partyjnego.

Stowarzyszenie prowadzi następujące placówki pracy: a) klub dla pielegniarek i urzędniczek przy ul. Marszałkowskiej 74, b) klub dla robotnic fabrycznych przy ul. Szarej, c) Wydział rekreacyjny, urządzający komplety gimnastyczne i sportowe, teatru amatorskie i t. d., d) lotnisko dla robotnic w Rybieniu nad Bugiem, e) Biuro porad dla emigrantów (Kobiet i dzieci) pozostające w ścisłym kontakcie z Urzędem Emigr., Konsulatem Ameryk., oraz stowarzyszeniami społecznymi w Ameryce.

Drugi dzień zjazdu poświęcony był wyłącznie referatom członkiń 3-ch stowarzyszeń biorących udział w zjeździe oraz dyskusji nad nimi. Obrady odbywały się w lokalu Tow. Zjedn. Ziem. przy ul. Marszałkowskiej 149, Referaty podzielone były na 3 grupy, a mianowicie:

1. Praca na wsi. Referaty: P. M. Potworowska — o ochronach i znaczeniu wychowania przedszkolnego dla dzieci wiejskich; p. Rudzka — o zakładaniu i prowadzeniu Kół Młodziży wiejskiej, p. B. Czetwertyńska — o kursach wieczorowych, p. Rosinkiewiczówna — o konieczności współpracy inteligencji wiejskiej z nauczycielstwem ludowym.

2. Praca w mieście. P. Dernałowiczówna — o ideologii i organizacji klubów dziewczęcych, p. Rowińska — o opiece nad kobietami i dziećmi, emigrującymi do Ameryki. (Prelegentka opisuje barwnie konieczności wytężonej pracy na tem polu, bardzo u nas zaniedbanem i zaznacza świetną organizację tego rodzaju towarzystw żydowskich. W wymownych słowach kreśli niedolę „sierot amerykańskich“, t. j. dzieci kt. rodzice wyemigrowali do Ameryki; stowarzyszenie udziela im opieki podczas przejazdu okrętem i czuwa nad nimi podczas przymusowego ich, nieraz długiego, pobytu w Warszawie. Niezbędne jest utworzenie ogniska czyli hoteliku dla tych bezdomnych dzieci, stowarzyszenie nie ma jednak dostatecznych funduszy po temu). P. Niedźwiedzka mówi o znaczeniu rozrywek i sportów w wychowaniu i opowiada o lotnisku dla robotnic w Rybieniu. Dom, w którym mieściła się ta instytucja, spłonął w zeszłym roku i jeśli się nie znajdą fundusze na zbudowanie chociażby baraków, niezmiernie ważna ta placówka zagrożona jest w swej egzystencji.

3. Samokształcenie. P. Morawska: Poczucie odpowiedzialności w pracy społecznej. P. Porejtkówna: konieczność przygotowania do pracy społecznej.

W przerwie pomiędzy referatami przemawiała delegatka Czerw. Krzyża p. Tarnowska, która zreferowała kwestję służby pomocniczej kobiet na wypadek wojny. Z inicjatywy III Oddz. Szt. Gen. (Wydział Wyszkożenia) powstał projekt przygotowania rezerw społecznych kobiecych w różnych działach służby pomocniczej. Pol. Czerw. Krzyż podjął się zorganizowania służby sanitarnej, potrzeba jednak na to znacznie większej ilości sanitariuszek niż te którą Stow. rozporządza. Mówczyni zachęcała do zapisywania się na organizowane przez P. Czerw. Krzyż kursa sanitarne których absolwentki będą rejestrowane i powoływane na wypadek wojny.

Na zakończenie zjazdu postanowiono otworzyć w najbliższym czasie kursy pracy społecznej i kursy dla kierowniczek klubów.

Osoby, pragnące się zapisywać na te kursy, otrzymać mogą wszelkie informacje w lokalu Koła Młod. przy Kat. Zw. Kob. Pol. (Kr.-Przedm 36), we wtorki i piątki od godz. 5 do 6, oraz w biurze Młod. Ziemianek (Marszałkowska 149) we wtorki, czwartki i soboty pom. 12—2.

Z KSIĄŻEK

Gabryel Kariski: *Gra*. Warszawa, 1924 r.

Pierwsza serja poezji Gabryela Kariskiego: „Drzewo przydrożne” zdradzała przemożny wpływ na młodego poetę twórczości Leopolda Staffa i, chwilowo, Kasprowicza. Świeżo wydana p. t. „Gra” drugą serję znamionuje już duży krok naprzód w kierunku przezwyciężenia w sobie uroku mistrzów i wydobycia z duszy samoistnych twórczych pierwiastków, poszukiwania własnej formy dla własnych przeżyć: słowem, krystalizowanie się indywidualności poetyckiej. Podkreślamy objawy z uznaniem i radością, jako poręczenie dalszego rozwoju talentu Kariskiego. Zbiorek niniejszy rozpoczyna piękna prozą poetycką napisany „Akord”, rzecz pełna głębokiego sentymentu i subtelności w odsłanianiu przez poetę sacrosanctum jego uczuć najbliższej sercu jego osobie i hołd dyskretny i szlachetny w swej prostocie—zamiast oficjalnej dedykacji. „Na cóż mi mówić długo i kwieścić do ciebie, która mię bez słów stokroć lepiej zrozumiesz?”—mówi poeta.—I czemu miałem imię twe kłaść na pierwszej stronie mej książki, skoro wyczytasz je w niej bez trudu, ilekroć zechcesz, z każdego wiersza i z pomiędzy wierszy?” I rozstrzuwa autor wizję swego szczęsnego, krótkiego, jak każde szczęście dzieciństwa pod skrzydłami tej, której mówi w swym „Akordzie” uczuć najtkliwszych: „czem jesteś dla mnie”. A gdy wspomnienia wigilijnych wieczorów „w dużym, ciepłym pokoju sędziwego dworu” owioną mu, zmrozoną obecnością ludzi, duszę, myśl pobiegnie do swej niezawodnej, serdecznej przystani i poeta „przez chwilę (widzi) niby na jawie rzeczywistość: drzewko, papierowe łańcuchy, płomyki świec, orzechy pozłacane i nawet srebrne niteczki, zwieszające się z gałązki na gałązkę. Przymrużeniem oczyma patrzę, patrę na te srebrne nici... to pierwsze siwe włosy twoje...” Po tym pięknym wstępie Kariski, czystej wody liryk, maluje „Grę”. Jakaż to może być gra dla liryka?... Gra uczuć między sobą i gra rzeczywistości z marzeniem, w której, odwiecznym trybem i losem, marzenie jest pobite. Nic to jednak, bo dla każdego poety, nieoprawnego pątnika do chimery, sama droga marzenia jest największą ponętą, bo jak mówi jeden z nich, „milsza mi podróz niż przybycie”. Lecz, że każdy z nich ma w sobie zwykłe ludzkie pragnienia plus nadludzkie (tem się jako człowiek różni od zwykłych śmiertelników) istotą jego walki z rzeczywistością jest niustanna walka tych właśnie dwojakich, kolidujących ze sobą w zętnięciu z życiem pragnień. To jest treścią życia poety, przyczyną jego rozczarowań i zawodów.

W jednych budzą one płomienny protest, piorunowanie na rzeczywistość, choćą z Pęga uczynić wołu czy małpę — w innych rodzą filozoficzny smutek i liryczną zadumę.

Do tej drugiej kategorii należy Gabryel Kariski. Dowodzą tego prawie wszystkie utwory w tym tomiku zawarte. Lecz smutek — to nie rezygnacja. Mówi autor w króciutkim, bardzo pięknym wierszu „Jeśli to jeno złuda”:

Jeśli to jeno złuda—zrzec się jej nie mogę;
tej wiary, że coś zrodzi tęsknot moich praca;
przeto pójdę bez żalu tam, skąd się nie wraca,
tak jak co dnia, jak dzisiaj opuszczam tę drogę,
nad którą, by odpocząć, na chwilę przysiadłem,
zostawiając za sobą opowity cieniem
szmat mego serca z tkwiącem w niem dzień-
[nem cierpieniem —
jak ten cichy szmat roli z porzuconem radłem.

Czasem poeta pół-dobrotliwie, pół-ironicznie uśmiecha się do swej *uświadomionej*, bezużyteczności” życiowej, jak żywot poety nazywają nieawszte tęgie, lecz zawsze tępe lby filisterskie. To najpogodniejsze utwory zbiorku, zebrane w cykl „Pastorale” („Wyznanie”—„Zaproszenie”—„Podróż”—„Praca wiosenna”—„Niedziela”).

Jakże to sobie ów „nygus” wyobraża „pracę wiosenną?...” Posłuchajcie, mężu i niewiasto, zdenerwowani spadkiem czy też zwyżką „Starachowic” lub „Parowozu”:

Oto niaruchomy trwam na łące;
jestem pilnie zajęty i nic mnie nie wzrusza;
leżę śród ziół i patrzę, jak mi w oczy słońce
zagląda skroś słomki kapelusza...

Na cóż mam innej imać się roboty?
Dość mi: czoło odsłonić — by spełnić co za-
[mierzam:
wiem dobrze, że mam głowę do pozłoty...
więc słońcu ją powierzam.

A to szelma!.. Dajcie mu jednak tak się bawić „poważni obywatele”, szimujący w takt jazz-bandu... dla zdrowia. Jego zabawa jest—zapewniam was—piękniejsza!

W. Rogowicz.

KSIĄŻKI DLA DZIECI

Ewa Szelburg-Ostrowska. — *Królestwo Bajki* —
Z ilustracjami Antoniego Gawińskiego. Wyd.
Arcta.

Ta sama autorka napisała powieść naskroś fantastyczną, a tak zawiłą, że ludzie dorośli mogliby zaledwie orjentować się w jej treści.

W życiu codziennem, w całym otoczeniu—jest pełno dobra i piękna — jest Królestwo Bajki—trzeba umieć tylko znaleźć—takie jest założenie powieści. Trudno żądać od dzieci, ażeby one były w stanie ocenić myśli zawarte w alegorjach zbyt odległych od poziomu ich rozwoju.

Umiński. — *Młody jeniec indyjski*. Wyd. Arcta.

Autor opisuje życie myśliwców w Ameryce Północnej pełne trudów, przygód i walk staczanych tak z dzikimi zwierzętami jak też z miejscową ludnością, ale zawsze z nich wychodzi zwycięzko. Na tym tle autor maluje sympatyczną postać szlachetnego młodzieńca, którego strzelcy wydobyli z niewoli indyjskiej Pracuje i walczy razem ze swymi opiekunami i wykształca się na dzielnego człowieka. Zamieszkuje w nowozałożonym mieście, energią i pracowitością zdobywa zaufanie mieszkańców i zostaje burmistrzem miasta. Autor umie pobudzić wyobraźnię i zainteresować czytelnika, opowiada żywo i zajmująco, szkoda jednak, że nie dał więcej wiadomości o zwyczajach i obyczajach miejscowej ludności (chociażby kosztem paru bitew) było by to dla młodzieży z większą korzyścią, a książka zyskałaby na wartości.

Ewa Szelburg-Ostrowska. — *Ogród króla Marcina*. — Opowieść czarodziejska z ilustracjami Antoniego Gawińskiego.

Za tło powieści autorka wzięła opuszczony ogród, którym zawładnęły „złośliwe” chwasty i doprowadzają go do zupełnego zdziżenia. Ale oto zjawia się pewnego razu „król” Marcin-ogrodnik, wyrzuca szkodliwe zielisko i „czarami” doprowadza ogród do dawnego wyglądu, znów drzewa puszczają młode pędy, kłoby porastają kwiatami, na zagonach wyrastają bujnie warzywa.

Powieść kończy się „Świętem ogrodu”—kiedy mała Irusia wraz z ogrodnikiem składa Matce Boskiej Zielnej na ofiarę piękną wiankę z kwiatów, owoców i jarzyn.



Autorka doskonale uchwyciła cechy charakterystyczne roślin ogrodowych, a szczególnie chwastów „dla których praca jest prze-kleństwem” i podała w formie bardzo interesującej.

Książka będzie ciekawą głównie dla dzieci wiejskich, dla tych, które są dobrze obznajmione z nazwami, wyglądem, własnościami chwastów i roślin ogrodowych.

Powieść napisana jest żywo i zajmująco. a ładne ilustracje Gawińskiego jeszcze bardziej podnoszą jej wartość.

Wilczyso. — Marji Bujno-Arctowej. — Ilustrował A. Gawiński. Wyd. Arcta.

Rzecz się dzieje w Polsce pod zaborem rosyjskim na krótko przed wojną. P. Andrzej-działacz społeczny (ze słów autorki) jest stale prześladowany przez żandarmerję rosyjską, która używa do pomocy szpiega-zwanego „Wilczykiem”.

Pan Andrzej zmuszony do ucieczki wraz z synkiem Lulem. W drodze narażają się na cały szereg niebezpieczeństw, aż w końcu ojciec przedostaje się do Krakowa, a syn znajduje schronienie w domu gajowego.

Bohaterem powieści jest mały Lulu—obdarzony niezwykle zdolnościami: poznaje w tłumie szpiega którego dotąd nigdy nie widział, pomaga ojcu w ucieczce, wychodzi zwycięzko z opresji żandarmów, a w końcu nawraca szpiega tak dalece, że ten zaniechał prześladowań ojca i staje w szeregach obrońców Ojczyzny.

Chcemy wierzyć autorce na słowo, że jej postaci są wielkimi patriotami, że pracują nad podtrzymaniem ducha narodowego i odzyskania wolności — ale żadnych konkretnych potwierdzeń nie znajdujemy udowodnionych w czynie.

Natomiast nadmiar opisów przeszpiewgów kłamstw i okrucieństw władz rządowych wywiera wrażenie przygnębiające.

Nie podobna domyśleć się, dla jakiego wieku autorka przeznaczyła swoją powieść: bo jeśli dla rówieśników bohatera Lulu—to treść będzie dla nich obcą — bo znają tylko Polskę niepodległą, a jeśli dla młodzieży starszej—to nie uwierzą w niezwykle czyny małego Lulu bohatera.

O boginie i liljach wodnych—opracowała Marja Dynowska—Z ilustracjami Gramatyki Ostrowskiej.

Autorka spopularyzowała dawne baśnie i legendy ludowe: O pysznej królewnie, o djabie Borucie, o dwunastu braciach miśsiaczkach i t. p.

Ładniejsze nieco i mniej znane są legendy: O Panu Jezusie i nawróconym grzeszniku, o tem, dlaczego św. Jerzy dostał od Matki Boskiej księżyc na mieszkanie i t. p. Opowiadania (31) są krótkie, napisane językiem ładnym i łatwym w formie.

Książka jest obficie ilustrowana przez Antoniego Gawińskiego, który plastycznie uwydatnia treść opowiadania.

Cecylja Niewiadomska — *Słoneczny Świątek* — wyd. Arcta.

Książka zawiera osiem opowiadań pełnych obrazowości, owiane tchnieniem szlachetnego uczucia, napisane językiem łatwym i ładnym.

Autorka usiłowała w każdej powiastce, włożyć jakąś myśl szlachetną, jakkolwiek nie zawsze będzie ona zrozumiana przez dzieci np. pow. „Łódka”.

Ze względu na wiek dziecka dla którego autorka ową książeczkę przeznacza (8—10 l.) opowiadania mają za mało akcji, życia i humoru.

Z TEATRÓW

TEATR POLSKI

„Od poranka do północy” — sztuka w 7-miu obrazach Jerzego Kaisera’a przekład Wilama Horzycy, ilustracja muzyczna L. Marczewskiego, dekoracje T. Gronowskiego.

Przyciszony gwar, jakgdyby hamowane oklaski, uśmiechy zagadkowe lub zgola niepewne, ostrożnie formułowane sądy: „to mi się podoba, ale... To mi się niepodoba, bo...” — oto mniej więcej nastroj publiczności na ostatniej premierze w teatrze Polskim.

Tam, na szerokim świecie, (jakby powiedział Sekretarz z „ptaka” Szaniawskiego) ludzie już dawno przyzwyczaili się do podobnych widowisk. Ekspresjonistyczne dekoracje nie przyprowadzają widzów o dreszcz sensacji... „Nowe” kierunki w sztuce przybawiają do nas ze znacznym opóźnieniem: pod tym względem, możemy to sobie szczerze powiedzieć, jesteśmy głęboką prowincją Europy, prowincją, do której moda przybawia jeszcze zawsze zakurzonym dyliżansem, obtłukłszy sobie poprzednio boki na licznych gościńcach i zdrzemnąwszy się na niejednym popasie.

Jednakże, mimo iż sama sztuka, „Od poranka do północy” przedstawia bogaty pod względem treści materiał, (możnaby od północy do poranka gawędzić i dyskutować na jej temat,) pragnę przedewszystkiem pomówić o projektowanych przez T. Gronowskiego dekoracjach.

Nic to, kochane czytelniczki, że w pierwszym obrazie (jest ich siedem) wszystkie okna i drzwi robią takie wrażenie, jakgdyby miały zamiar wyskoczyć z futryn i uczyniły już potem pierwszy (decydujący) krok; nic to, że wszystkie meble stoją koślawo, ściany urągają normalnemu pojęciu i tylko biedni aktorzy, z konieczności posłuszni prawu przyciągania ziemi, chodzą prosto, a nie pod kątem 45-tym, — nic to, powtarzam, albowiem każda poszczególna dekoracja tego naprawdę bardzo uzdolnionego ekspresjonisty ma wyraz, ma barwę, ma swoje własne, indywidualne życie.

Obraz II, III i VI — to poprostu orgia kształtów i kolorów, to jakieś rozszalały taniec barw i form, taniec, pijany mocem, niefalszowanym winem istotnego talentu, któremu mało trzech znanych wymiarów, więc miota się i ciska w poszukiwaniu czwartego...

O ten czwarty wymiar, o to Nieokreślone i Tajemnicze, za którym podświadomie tęskni wszelaki człowiek, — zatraca właśnie sama sztuka. Odwieczny problem! Zadanie matematyczne, nierozwiązane dotychczas z tej tylko racji, że ma o jedną niewiadomą zawiele: pragnienie ujęcia duszy ludzkiej w pewien realny kształt...

Przez siedem doskonale ujętych scenicznych obrazów ciągnie się to poszukiwanie, to badanie, ten sąd nad duszą, sercem, mózgiem, — nad całym jestestwem człowieczym. Od oskarżonych, adwokatów i świadków (jakże często fałszywych!) roi się scena życia. Jedyne wszechwidzący Sędzia ma zasłonięte, jak zwykle, oblicze i milczy — chociaż on jeden właśnie słyszy, rozumie i wie.

Gdyby Jerzy Kaiser sam nie miał duszy przeżartej pesymizmem, łatwiej znalazł ukojenie i jedyną nie mylną drogę, wiodącą poprzez ciemności: *wiarę*. Ale nie znalazł jej — dlatego sztuka jego jest przeraźliwie smutna i bez nadziei na lepsze jutro. Jak skazaniec w przeddzień stracenia, patrzy Jerzy Kaiser na życie — skazaniec tem nieszczęśliwszy, że w ostatniej godzinie towarzyszy mu tylko gorzyc i wstręt do przeżytego dnia. „Od poranka do północy” rysuje autor podłość ludzką i mękę, niezłagodzoną żadnym przebaczeniem.

Pomimo, że w sztuce bierze udział około 50 osób, jest ona właściwie jednym wielkim monologiem; bardzo nowoczesny pisarz niemiecki nadał dziełu swemu formę prastarą — jak ludzka myśl.

W „monologu” owym mógł Adwentowicz ujawnić bogatą skalę swego talentu. Bogatą — i wąską zarazem, gdyż twórczość tego artysty rzadko wychodzi poza granice duszy chorej i starganej na strzęp „Upiory” — cały niemal Strindberg i „Kazjer” w sztuce Kaisera’a — oto skala.

Całość widowiska opracowana reżyserko nader starannie i pomysłowo. Niektóre epizodyczne postacie wprost świetne. Małkowski, jako dyrektor banku, Zelwerowicz — jako „pan gruby”, Broniszówna — jako kokota, etc. Obraz 4-ty był wprost majsterską, bo nie przesadzoną stylizacją domowego ogniska z gatunku niemieckiej dulszczyzny.

TEATR „REDUTA”

„Dom otwarty” — komedia w 3 aktach Michała Bauckiego.

Nie można o tym przemiliwym teatrze pisać inaczej, jak z wielką, serdeczną sympatią. Zarówno z punktu widzenia fachowego krytyka, jak i zwykłego śmiertelnika, który jest również widzem, a krytykiem... nieraz może i lepszym.

Widz przychodzi do teatru „Reduty” po to, by znaleźć wypoczynek dla duszy i dla oczu w harmonijnej pod każdym względem całości widowiska. Krytyk, o ile nie przychodzi jedynie z profesji, to znaczy w 9/10 wypadków z mikroblem nudy krążącym we krwi, może uświadomić sobie i sprawdzić jeszcze raz, że dobre sztuki nie starzeją się, a jeśli nawet użyć tego określenia, to tak, jak dobre wino: im starsze — tem piękniejszy ma bukiet.

Uczy nas tej prostej mądrości „Reduta”. Powolutku, cierpliwie, jak krnąbrne dzieci, którym od czasu do czasu zachciewa się gwiazdki z nieba lub obiadu, złożonego z samych „delikatesów”. Od przydługiego zadzierania głowy do góry może wkrótce zabołć kark, a zbyt nieprzeladowanie „delikatesami” grozi niestrawnością.

To, co podaje „Reduta” swej publiczności, nie tylko smaczne jest, ale pożywne i odwrotnie: nie tylko pożywne — ale smaczne.

Któż nie zna „Grubych ryb”? Kto w swoim czasie nie był na „Domu otwartym”? Tylko — mój Boże — to było jeszcze przed wojną, czyli o całą epokę wstecz! „Dom otwarty” liczy obecnie 39 lat egzystencji. Przez ten krótki (jak na lata) okres zdążył już przejść dwie ważne fazy: najpierw — stał się nieco niemodny, a obecnie — jest już stylowy antyk, będzie nie tylko modny, ale nabierze wartości (czytaj ceny).

Sądze, że to już niedaleki dzień. 31 lipca 1914 roku nie wszyscy zdawali sobie sprawę, a raczej mało kto sobie uświadamiał tak jasno, jak dziś, że Wielka Wojna, to nie tylko fakt ogromnego politycznego znaczenia, ale zdarzenie, które niby forsowny skok, przeniesie nas ponad rwącym potokiem — na drugi, zupełnie nowy, niezany brzeg. Wszystkośmy zostawili po tamtej stronie: młodość, dawne poglądy na życie, dawne ustosunkowanie do niego, nawet dawne obyczaje.

Dlatego dziś „Dom otwarty” jest jak kartka, wydarta z pamiętnika nie ojców, lecz pradziadków naszych. Rzecz śmieszna, — może dwuznacznik słowny, — ale możnaby powiedzieć że dziś każdy z nas, ludzi w pełni sił, jest jakgdyby własnym swoim potomkiem. Narodziliśmy się po raz wtóry, niektórzy lepsi, niektórzy gorsi, lecz w każdym razie — inni. Kto wie, może niejedyn syn takich „fikalskich” na szerszym polu, niż na froterowanej posadzce był wodzirejem... Nie w mazurowym tempie, lecz w marszu bojowym szedł zdobywać innych rozmiarów sławę: sławę nieśmiertelną żołnierza, który zginął za wolność. A kto zaręczę, że właśnie synowie tych samych uczciwych i poczciwych mieszczuchów nie jeżdżą dzisiaj własnym autobilem, zdobywając spekulacją na cukrze, lub walucie?..

A o tem, jacy byli ci ich poprzednicy, jacy dobrzy i jacy źli, jacy szlachetni i jacy ułomni — poucza nas dziś „Dom otwarty” w „Reducie”. Mały, pospolicie zaścianek krakowski,

w którym się mówi o „Austrii” i o „Galicii” i o drobniutkich, och, jak drobniutkich, śmiesznych, karłowatych ploteczkach...

Za tamtych czasów młode panienki także lubiły się kochać, lubiły na swój sposób flirtować i lubiły tańczyć na balu. Jakże jednak inaczej, o, jakże inaczej...

W programie wyszczególnione są tylko nazwiska Żelskich, Wicherkowskich, Ciuciumkiewiczów... Gra ich zespół „Reduty”. Żle mówię — nie gra, *jest nimi*. Na krótki czas, na kilka godzin zostaliśmy przeniesieni, jak w bajce o latającym dywanie, w zupełnie inny świat, nie, w światek. W mały krakowski światek z przed lat czterdziestu.

W. Mił.

Wskazówki praktyczne

OSTATKI

Parę dni tylko pozostaje do środy popielcowej i chociaż dzisiaj post nie jest tak surowo obserwowany, to jednak tradycję karawalową połączoną z jedzeniem, piciem i zabawą, chętnie obserwujemy. W tych warunkach muszę zaprzestać wszelkiego nawoływania do oszczędności a raczej stosować się tylko o ile się da nie psując przysmaków wyrabianych przez niedodanie tego co jest konieczne, aby oczywiście dobre były. Przykład tego rażąco miałam dni parę temu w moim gospodarstwie. Od jednej z moich czytelniczek z „Bluszczu” otrzymałam list z receptą na faworki z kategorycznym zaznaczeniem, że są tańsze i smaczniejsze od moich, wchodziły do nich, mąka, jajka, nieco soli i cukru i ku memu zdziwieniu amonjak, natomiast nie było ani śmietany ani araku ani spirytusu. Ponieważ nie podaję nigdy żadnego niewypróbowanego przepisu, byłam zmuszona takie faworki upiec, — okazały się twarde i suche, a od amonjaku pokryte małymi pęcherzykami, jakby trędowate, w smażeniu nie rosły wcale, wczorajmi powiedziała pewna tajemnicza gospodyni, że amonjak w ciastach smażonych zawsze jest niedobry, było to jednak zapóźno, cały ogromny półmisek faworków będzie oczywiście zjedzony, bo dzisiaj zjada się wszystko, ale gdyby tak z kwaterką śmietany i nie z tym szczególnym amonjakiem jadłoby się rzecz prawdziwie smaczną. Natomiast pozwolę sobie podać przepis faworków wprost topniejących w ustach, które jadłam wczoraj u tej bajkowej gospodyni. Dziesięć żółtek kieliszek spirytusu, łyżkę cukru, łyżeczkę soli i łyżeczkę sody i tyle maki ile trzeba aby ciasto się dało tak wyrobić, aby bez podsypania wałkować je można było. Wałkować cienko, robić duże faworki, (małe by się rozpadły, tak są kruche) przewijać dwa razy i smażyć, w szmalcu tak obfitym, aby jak pączki pływały mogły. Osypywać gorące cukrem jaknajdrobniej utłuczonym z wanilią.

W byłej Kongresówce przeważnie używają tylko faworków, na Litwie więcej rozpoznane były tak zwane „chrusty” tem się od nich różniące, że się robią z ciasta lanego na tłuszczu. Są one wyborne, miękkie i delikatne, gdyby, która z pań poprobać chciała ich wyrobić, podaję tu stary, wypróbowany przepis. Pięć łyżek suchej maki, trzy łyżki cukru, trochę cynamonu lub utartej skórki cytrynowej, zmieszać z czterema żółtkami i taką ilością mleka lub wina białego, aby się zrobiło rzadkie, lejące się ciasto, nieco tylko gęstsze jak na naleśniki, ubić białko na sztywną pianę wymieszać ostrożnie z ciastem, aby nie opadło.

W niedużym, głębokim rondelku, rozgrzać sznalec jak na zwykłe faworki, przez nieduży lejek wlewać ciasto, kręcąc lejkiem w różnych kierunkach, aby się uformowało splecione koło, kształtem przypominające gniazdo ptasie, gdy się z jednej strony zrumieni, przewracać na drugą, rumiane wybrać, złożyć na suche sito wyłożone bibułą i smażyć dalsze, z tej proporcji powinniśmy otrzymać osiem ciastek dużych rozmiarów spodka do herbaty rozmiar zależy od rondelka, w którym je smażymy. Trzymać w ciepłym miejscu i podawać gorące osypując dopiero przed podaniem cukrem z cynamonem lub też podając do nich konfitury. W miejscowościach, gdzie o dobre

drożdże trudno można w ostatki zrobić doskonałe pączki zaparzane, postępując w sposób następujący. Zagotować dwie szklanki wody ze szklanką masła, na wrzątek wsypać dwie szklanki mąki wybić łyżką aż od rondla odstawać znacznie, zdjąć z blachy, wyrabiać dalej łyżką aż przestygnie, wbijając w to siedem jaj całych, pojedynczych, wciąż wyrabiając aż się stanie jednolite, gładkie i pulchne. W płaskim rondlu rozpalic szmalec, jak na pączki zwykle, maczać łyżkę w roztopionym masle brać nią kawałki ciasta, starając się im nadać kształt możliwie okrągły, smażyć na obie strony do mocnego zrumienienia, (jeżeli zdarzone, bardzo rosną) usmażone składać na sito, trzymać w cieple, przed podaniem osypać cukrem utłuczonym z wanilią lub podać do nich jakiś syrop czy konfitury. Są wyborne; należy je jednak jeść na gorąco. To jest przed podaniem każdorazowo postawić na parze z sitem całem na minut kilka. Przy wyrobie wszelkiego rodzaju pączków pozostają zwykle różne skrawki ciasta, te można w następujący sposób użytkować. Przechować je, po ściśnięciu w jedną wielką gałkę, gdziekolwiek na chłodzie do dnia następnego, wyrobić powtórnie dobrze, gdyby ciasto było za rzadkie, dodać trochę mąki, rozwałkować jaknajcieńiej, powykrawać szklanką kółka, po trzy takie kółka położyć jedno na drugie, przycisnąć mocno palcem środek, aby się złączyły, nożem ponacinać głęboko brzegi, rzucić na rozpálny szmalec, przewrócić gdy jedna strona się zrumieni. Powinny się z nich powtórzyć różę, gorące posypać cukrem z wanilią i cynamonem.

Mniej delikatne od pączków, wyglądają bardzo ładnie i stanowią wyborny dodatek do herbaty. Nakoniec dla osób lubiących ciasta na tłuszczu a z racji delikatnego żołądka nie mogących jeść dużo pączków i faworków podają stary, przepis pączków z jabłek. Dwa-dziesięć niedużych jabłek obrać, wydrążyć środki, włożyć w środek parę wisien bez soku, zasklepić otwór kawałkiem jabłka. Rozbić trzy żółtka z dwoma łyżkami mąki i łyżką cukru, dodać łyżkę mleka i sztywną pianę z białek, zmaczać w tem jabłka, uważając aby całe były ciastem pokryte i natychmiast rzucić na rozpálny jak na pączki szmalec, nakryć na chwilę pokrywą, odkryć, przewrócić znowa nakryć. Skoro gotowe wyjąć na sito pokryte bibułą, osypać cukrem z cynamonem.

W dzieciństwie jadałam jabłka z szodone-m, lubiłam je jednak jeść z sokiem lub z cukrem tylko są wyborne. Dając czytelnikom moim tyle przepisów, od razu chciałam im pomódz urozmaicić jadłospis ostatków, w przyszłym numerze, będę pisała o poście tylko o daniach w czasie niego używanych.

Pani Elżbieta

Nadesłane do Redakcji

PORADY KOSMETYCZNE

Eugenji z Ulęza. Choroby włosów są różne. Proszę przysłać w kopercie, wprost do mnie, Niecała 5, wyczeski włosów i kilka wyrwanych do zbadania, oraz na koszty analizy 5 mil. m. Po zbadaniu wyszłę wskazówki i odpowiednie środki albo receptę.

Różyczka. Pod oczami i w kątach ócz namaszczać Altą a zmarszczki wkrótce znikną.

Teosi. Piaskiem Dr. Séguinaud'a tak węgry, jak rozszerzone pory oraz nadmiernie wydzielający się tłuszcz około nosa i na nosie wkrótce Sz. Pani usunie. Piaskiem szczotkować co 3-ci dzień.

Zrozpaczonej. Gule czyli kości wystające u nóg, rzeczywiście mogą doprowadzić do rozpacz. Wszystkie środki są właściwie pół środki. Operacja i tylko operacja uwolni Sz. Panią od tego defektu i cierpienia — no i kształt nogi czyli stopy będzie piękny. Musi Pani przyjechać na parę tygodni do Warszawy, a bliższych informacji udzielę osobiście.

Luci. Przekłucie uszów jest bezbolesne, bowiem znieczuliła się eterem. Operację tę w Warszawie tylko wykonywa się w moim zakładzie kosmetycznym, Niecała 5.

Mimozie. Jestem bardzo zadowolony, że Eos tak szybko wpłynął na porost włosów. Faktycznie, jest to najpoważniejszy ze wszystkich środków w tym kierunku. Dopiero po paru miesiącach drugi raz można powtórzyć, ale tylko wówczas, gdyby Pani łupież lub wypadanie powtórzyło się, jeżeli zaś nie — to nie trzeba.

Zenobji. Przyjęcie u mnie od godz. 7-ej. Wszelkie masaże, usuwanie kurzajek, wągrows, krost i t. p. defektów, według najnowszych postępów nauki — wykonywują się. Listy adresowprosto do mnie. Warszawa, Klimecki, Niecała 5.

Kalinie. Czerwoność nosa może pochodzić z odmrożenia lub rozszerzonych żyłek krwionośnych. W pierwszym wypadku zastosować preparat „Tryumf” D-ra. Séguinaud'a, zaś w drugim — kanteryzacja.

Maurycemu. „Eos” powstrzyma wypadanie włosów, usunie łupież i pobudzi do porostu włosów.

Stefanowi z Pokucia. Jeżeli łysienie jest dziedziczne, to żaden środek nie pomoże — Elektryzacja wskazana.

Marychnie. Rzęs Eosem nie można smarować, brwi można, lecz rozcieńczonem pół na pół z wodą. Skutek będzie wspaniały.

Jasieńce. W numerze 46 „Bluszczu” zaśła omyłka, nie „Ocet z solą”, a ocet z wodą po równej części.

Klimecki

Kupujcie w firmach ogłaszających się w „Bluszczu”

NICI, BAWELNA, KORDONKI D. M. C.
Nadeszły na Jumpry
90 kolorów Jedwabie 90 kolorów
Tomaszowskiej fabryki
POLECA:
POLSKA CENTRALA HANDLU NIĆMI
S. WEGENKO I S-ka.
Współwłaściciele Grochowskiej Fabryki Nici
WARSZAWA, KRUCHA 24 TEL. 137-17 i 266-14
Żądać wyczerpujących ofert i cenników.
LASSE, ZEPHYRY, WEŁNA L. V.

„PORADNIA SZYCIA I ROBÓT” PRZY
„BLUSZCZU” OTWARTA OD GODZ. 4
DO 7 PO POŁ., ADM. „BLUSZCZU”
PAŁAC STASZICA KRAK. PRZEDM. 2

MANICURE
„WACŁAWA”
WARSZAWA, HOŻA 45 m.1.
PRZYJMĘ CODZIENNIE OD 11-EJ DO 7-MEJ WIEC.
ORAZ WYUCZAM W KRÓTKIM CZASIE; W NIEDZIELĘ
O O I ŚWIĘTA OD GODZ. 11-EJ DO 1-EJ. O O

SWÓJ DO SWEGO

Miljony osób nie wiedzą o tem, że mamy polskie nici. Naszym obowiązkiem jest wskazać źródło i gorąco polecić nabywanie. Polska Centrala Handlu nićmi S. Wegenko i S-ka, Warszawa, Krucha 24, prowadzi od szeregu lat ruchliwą działalność na polu zaopatrywania Warszawy w nici. Obecnie firma ta, rozszerzyła swoją działalność w ten sposób, że otworzyła dwa nowe działy: wełny i bawełny do fabrykacji. Ta rzutkość jest gwarancją powodzenia firmy.

Popierajmy naszą rodzimą placówkę, propagujemy wśród tych, co nie wiedzą, że są polskie nici. Obowiązkiem naszym adres firmy polskiej dać spółkom i kooperatywom na prowincji, by nie czyniły zamówień u żydów, a u swoich.

Pamiętajmy o tym obowiązku obywatelskim w imię świętego hasła „Swoj do Swego”.

Zamówienia przez firmę skutecznie się odwrotną pocztą. Popierajmy placówkę polską.

Opis sukien i robót do Nr 9

1. Skromna bluzka do kostjumu przybrana guzikami.
2. Sukienka dla dziewczynki od lat 12 do 14, z granatowej wełny przybrana szeroką taśmą.
3. Bluzka jedwabna dla młodej panienki ozdobiona haftem.
4. Łatwy haft na serwetkę lub do przybrania letniej sukni.
5. Elegancki kostjum trykotinowy, przybrany pliskami z jedwabiu i guzikami. Żakietek w formie bluzki.
6. Modny kostjum wiosenny z granatowej gabardyny.
7. Płaszcz dla dziewczynki od lat 12 do 14 z granatowego szewiotu, kołnierzyk i mankiety z jedwabiu w kratę.
8. Płaszcz wiosenny z lekkiej wełny Peleryna ze stojącym kołnierzem podszyte białym jedwabiem.
9. Szlak do bluzek lub sukien. Motyw ludowy.
- 10-14. Wzory na teneryfy do bielizny.
15. Suknia z granatowego jedwabiu. Spódniczka plisowana. Tiunika podpięta metalowymi klamrami, Kryza z białego Ninon haftowana granatowym jedwabiem.
16. Strojna suknia z jedwabiu bok i kołnierz bogato haftowane.
17. Kostjum wiosenny z jedwabiu przybrany ażurową taśmą. Żakietek otwarty. Kamizelka z żabotem z białego jedwabiu.
18. Suknia jedwabna wizytowa haftowana. Stanik bolero.
19. Wzór na lauffer, haft Richelieu.

OFIARY

Na Komitet „Chleb głodnym dzieciom” pod protektorem W. P. Prezydentowej Wojciechowskiej.

M. Różańska	1.000.000 mk
J. Marksowa	100.0.000 „
Z. Gabszewicz	2.000.000 „
W. Reaumont	5.000.000 „
H. Sigismundówna	4.110.000 „

W. JANISZEWSKI i S^{KA}

WARSZAWA.

MARSZAŁKOWSKA № 145.

Wielki wybór wiosennych
OKRYĆ I KOSTJUMÓW

AMAZONKI

PŁASZCZE NIEPRZEMAKALNE

WYKWINTNE
OBUWIE DAMSKIE
Wł. Modzelewski
MARSZAŁKOWSKA 73

Dom Handlo-
wo-Komisowy „Antiquité“

KUPNO, SPRZEDAŻ, KOMIS; BRONZÓW,
ZŁOTA, SREBRA, BIZUTERJI, DYWANÓW,
FUTER, PORCELANY, MEBLI, OBRAZÓW itp.

Aleje Jerozolimskie 8 m. 4. róg Brackiej.
28 obok Cristalu.

MECHANICZNA FABRYKA OBUWIA

„SOKÓŁ“

IGNACEGO ŁUCZYŃSKIEGO

Marszałkowska № 71. Tel. 177-37.

Skład apteczny prow. Farmacji
BOLESŁAWA BRZEZIŃSKIEGO
Warszawa, Marszałkowska № 4

Perfумы krajowe i zagraniczne
Krem na piegi i na cerę

JAN BERENT

MAGAZYJ OPTYCZNY

WARSZAWA, Marszałkowska 87

Telefon 30-15.

RYSOWANE KAPY, OBRUSY, SER-
WETY, PODUSZKI ORAZ RYSOWA-
NIE NA POWIERZONYCH MATER-
JAŁACH, WYKOŃCZANIE ROBÓT
I ZNACZENIE BIELIZNY.

43 MARSZAŁKOWSKA № 49 M. 25.

Magazyn Bławatny i Skład Płótna 38

„WACŁAW CZAPLICKI“

Warszawa, Krucza № 19.

Poleca po cenach bezkonkurencyj-
nych: Płótna, madapolamy, nansuki,
opale, batysty oraz wełny na suknie
i kostjумы w doborowych gatunkach.

CENY OGŁOSZEŃ:

Cała strona	60 zł. — gr.
$\frac{1}{2}$ „	34 „ 50 „
$\frac{1}{4}$ „	19 „ 50 „
$\frac{1}{8}$ „	10 „ 50 „
$\frac{1}{16}$ „	6 „ — „
$\frac{1}{24}$ „	4 „ — „

W tekście o 50% drożej.

W dodatku mój 100 % drożej.

Prenumerata „Bluszczu“

WYNOŚI

miesięcznie z przesyłką . . .	3 zł. 50 gr.
numer pojedynczy	1 „ — „
zagranicą miesięcznie	7 „ — „
zmiana adresu	30 „ — „
od prenumeratorek kwartalnych przyjmuje się tylko zaliczkę	

Na bieżący tydzień obowiązuje kurs
dnia dzisiejszego t.j. 1 złoty 1.800.000 mk.
Reklamacje numerów zaginionych uwzglę-
dniane są do 2 tygodni bez pobrania kosztów

Wysyłkę „Bluszczu“ przerywamy tylko na
wyraźną odmowę czytelniczek.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Warszawa, Pałac Staszica Krak.-Przedm. 2,
Koło Polek, telefon 239-40.

Konto czekowe P. K. O. Nr. 3700.

OBUWIE
MEZKIE,
DAMSKIE

poleca:



C. GADZIŃSKI, 5-to Krzyska 5, w podwórzu.

S Z K O Ł A
kroju, szycia, modniarstwa, haftu i bielizny

ANNY WIŚNIEWSKIEJ

MISTRZYNI CECHU WARSZAWSKIEGO

Przyjmuje zapisy codziennie
KOŃCZĄCYM PATENTY.

Warszawa, — Niecała 12.

OBUWIA

DAMSKIEGO, MĘSKIEGO i DZIECIENNEGO

NIE KUPUJ DOPÓKI NIE OBEJRZYSZ
— NA WILCZEJ № 27 — 2. —

SKŁAD APTECZNY

MIECZYŚLAW SROCKI

Królewska 29.

Poleca: Perfумы na wagę, Kosmetykę,
oraz mydła toaletowe.

„Składnica galanteryjna“

Warszawa, Długa 31 telefon 157-83.

Posiada zawsze na składzie w wielkim wybo-
rze: Niści, bawełnę D. M. C. Wyroby poń-
czosnicze, chustki do nosa, norymber-
szczyznę i galanterję.

Ceny hurtowe, konkurencyjne. 47

PRACOWNIA POŃCZOCH
I SKARPETEK NOWYCH

ORAZ NADRABIANIE I REPERACJA
WSZELKIEGO RODZAJU TRYKOTAŻY.

Marji DZIEKOŃSKIEJ
WARSZAWA ŚNIADECKICH № 9 m. 122.

OGŁOSZENIA — przyjmują prócz administracji „BLUSZCZU“: Tow. Akc. „REKLAMA POLSKA“, Warszawa, Jasna 10, BIURO OGŁOSZEŃ,
T. PIETRASZEK — Marszałkowska 115, L. i E. METZL i Sp. — Marszałkowska 130, BIURO DZIENNIKÓW S. UNGRA —
Senatorska 12. Polsko-Ameryk. Tow. „NOWA REKLAMA“ — Długa 9 i 1. BUCHWEITZ — Marszałkowska 107.

Wydawca: Tow. Zakładów Graficznych „KOŁA POLEK“.
Sp. z Ogr. Odp.

Redaktorka: WANDA PEŁCZYŃSKA
Redakcja i Administracja: Krak. Przedm. 2. Tel. 239-40

Druk Zakł. Graf. „KOŁA POLEK“ Nowy-Świat 8-10.